



PRENUMERATA we LWOWIE:  
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 zlr. półrocznie 6 zlr.  
kwartalnie 3 zlr.

PRENUMERATA na PROWINCJI:  
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 zlr.  
półrocznie 7 zlr. kwartalnie 3 zlr. 50 cent.  
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.  
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.

Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.  
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni  
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.

PRENUMERATA w POZNANIU:  
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.  
NA PROWINCJI:  
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 sgr. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

## LUŻNE UWAGI.

XXIII.

### RATUJMY SZTUKĘ POLSKĄ!

I. Dziwnym wyda się niejednemu okrzyk, umieszczony na czele dzisiejszych uwag naszych. Jakto, zapyta wielu czytelników, więc sztuce polskiej grozi upadek, kiedy ją aż ratować potrzeba? Przecież ona dopiero w rozkwicie, a co kwitnie to tak prędko nie ginie. Próżne zatem obawy i niestosowne wołanie!

My atoli innego jesteśmy zdania. Obawy nasze mają niestety podstawę — a ostrzeżenie przed zbliżającym się niebezpieczeństwem jest konieczne. I oto dowody.

Trojakie są pobudki, które składają się na to, że artysta tworzy. Pierwszą jest wewnętrzna potrzeba, drugą pragnienie uznania i sławy, trzecią zaś, często najważniejszą, konieczność fizycznego istnienia. Pierwsze dwie są moralne, ostatnia ściśle materialna. Nie będzie ten wielkim artystą, kto się nim nie urodził; nie będzie i ten, kto się nie stara, aby prace jego były przez ogół rozumiane i cenione — a rzadko, bardzo rzadko wyższy stopień doskonałości osiąga i ten, kto z amatorstwa, nie z potrzeby materialnej, chwyta za pędzel, dług lub pióro. Że tak jest, na to ponoś dowodów nie potrzeba. Dyletantyzm rzadko kiedy daleko prowadzi, choćby dla tego tylko, że człowiek bogaty, niepotrzebujący dla chleba umysłowo pracować i tworzyć, łatwo zniechęca się pierwszem niepowodzeniem, a dłuższa walka i przeszkody strącają go na zawsze z drogi chwilowo obranej. Wiadomą jest także rzeczą, cośmy na innym miejscu dość obszernie udowodnili, że biedny stan średni dostarcza najwięcej ludzi umysłowo pracujących, którzy za dzieła swoje domagają się materialnego wynagrodzenia.

Artyści polscy, których tak wielki zastęp pojawił się w ostatnich czasach, są wszyscy niezamożni. Konieczność zatem nakazuje im żądać za dokonane dzieła stosownego wynagrodzenia.

T. II. N. 23.

Tymczasem nasze Towarzystwa przyjaciół Sztuk pięknych kupują dzieł bardzo mało, a publiczność prawie całkiem ich nie kupuje. Jakież tego następstwa? Oto, że najwspanialsze okazy sztuki polskiej przechodzą w obce ręce. Gdzie się podziały Warszawa i Polonia Grottgera, gdzie Rejtan Matejki, gdzie niemal wszystkie utwory Gierymskiego, o których wiemy zaledwie ze słyszenia, gdzie znakomite pejzaże Henryka Cieszkowskiego, których w Polsce nikt prawie nie zna i tyle, tyle innych dzieł naszych polskich artystów? Polska ich nie ma, bo przeszły w obce ręce... Ale nie w tem rozpięczeniu się utworów polskiego pędzla po całym niemal świecie, widzimy największe niebezpieczeństwo grożące polskiej sztuce; my jesteśmy przekonani, że jeżeli tak dłużej potrwa, sztuka nasza zatraci prawie zupełnie swój odrębny charakter, i szkoła polskiego malarstwa nie rozwinie się nigdy należycie.

Utwory polskich artystów głównie tem się wyróżniają, że osoby, sceny z życia, widoki, nawet powietrze jest na nich czysto polskie, nasze. Gdy te właściwości znikną, zniknie odrębność szkoły polskiej — i sztuka nasza stanie się kosmopolityczną. Stanie się zaś niewątpliwie, jeżeli artyści polscy będą zmuszeni oglądać się coraz więcej na zagranicę. Aby cudzoziemcy rozumieli i cenili ich prace, będą musieli dobierać takich tematów, które przemówią do indywidualności cudzoziemców.

Twierdzenie nasze popieramy nowym faktem. Oto upewniają nas, że jeden z celniejszych artystów monachijskich, p. Kurella, pracuje teraz wyłącznie dla ilustrowanych pism zagranicznych. Czy go na zawsze nie stracimy?

Niech słów naszych nikt nie lekceważy. To, cośmy powiedzieli, ma niestety najracjonalniejszą podstawę. Niebezpieczeństwo grozi nam wielkie, ale ponieważ widzimy je sami, więc dołożymy starań, aby je odwrócić. Jak to się ma stać, o tem pomówimy w przyszłym tygodniu.

## BYLE WYŻEJ!

POWIEŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Nastąpiło przesłuchanie świadków, które trwało dość długo. Najważniejszym były zeznania służącego hrabiego, bo one podawały najbliższe szczegóły zbrodni i ucieczki. Kiedy świadek ten zeznał już wszystko i miał odchodzić, podniósł się Jan powoli ze swego siedzenia i poprosił sąd o zatrzymanie świadka, gdyż ma mu zadać parę drobnych pytań. Sąd zezwolił na to. Jan poprawił okularów, odchrząknął i rzekł:

— Świadek utrzymuje, że widział hrabinę wychodzącą w nocy z mieszkania męża, że była bladą i pomieszaną, że trzymała w rękach pakiet, czy tak?

— Tak — odrzekł służący.

— Czy nie mógłby nam świadek powiedzieć bliższych szczegółów. A mianowicie, czy hrabina wychodząc widziała świadka?

— Nie, ja byłem w cieniu, bo w pokoju nie było światła.

— W jakim sposobie jednak świadek mógł widzieć hrabinę.

— Księżyc świecił dość jasno przez okno w miejscu, przez które przechodziła hrabina.

Jan wziął spokojnie do ręki jakąś książeczkę i przewracał kartki. Przewodniczący sądząc, że już skończył pytania, kazał się świadkowi oddalić.

— Za pozwoleniem, jeszcze nie skończyłem.

Miedzy publicznością objawiło się dość głośne niezadowolenie, że nudzi niepotrzebnymi pytaniami i przewleka sprawę. Jan zdawał się nie uważać na to i mówił dalej zwróciwszy się do sędziów:



— Zbrodnia popełniona została w nocy między 10 a 11 Listopada roku zeszłego. W tym dniu, jak możemy przekonać się z kalendarza, był nów, to więc, co świadek zeznał, nie zgadza się z prawdą.

Uwaga ta, zrobiła wrażenie niespodziewane. Nikomu na myśl nie przyszła okoliczność, którą podniósł teraz obrońca. Sędziowie spojrzeli na siebie zakłopotani i zdziwieni; tymczasem Jan poszedł ku nim i podał im kalendarz, który szedł potem z rąk do rąk. Każdy z sędziów mógł się przekonać o prawdziwości zarzutu. Świadek pobłdził trochę. Obrońca wyczekał czas jakiś; potem zaczął mówić:

— Nie zbadano również dokładnie, o której właściwie porze stróż nocny słyszał szelst w ogrodzie. Zeznał on, że „jakoś po północy“. Jest to określenie zbyt niejasne. Gdyby mógł nam to świadek bliżej wyjaśnić, możeby się pokazało, że hrabiny już dawno nie było we dworze, gdy nastąpiła śmierć hrabiego. Lekarze, którzy przybyli na miejsce zbrodni, orzekli, że nieboszczyk skonał przed pięcioma godzinami. Zważywszy teraz, że działanie morfiny jest dość szybkie, trudno by nam było wytłumaczyć sobie, w jaki sposób hrabina po dokonanej zbrodni zdołała dojechać do pociągu kolei, aby dojechać do granicy na ten czas, w którym ją aresztowano. Potrzebowałaby przebyć przestrzeń trzynastu mil w półtorej godziny, co przecież jest czystym niepodobieństwem.

W miarę jak mówił, rósł podziw słuchaczy; słuchano z uwagą, by nie stracić żadnego słowa, i było w sali tak cicho, że każdy głośniejszy oddech, każde westchnienie słychać było. Wśród tej ciszy słowa obrońcy upadały jednostajnie, miarowo jak krople zimnej wody na głowę; zimno ich piekło i paliło. Kiedy skończył drugi zarzut, odkrzyknął znowu i podniesionym już nieco głosem, który skrzypiał jak oś źle wysmarowana, mówił dalej:

— I w istocie, w chwili, gdy zbrodnia dokonywała się, hrabina była już daleko. Odjechała zostawiwszy męża zdrowego i nie miała powodu pozbawiać go życia, bo ucieczka wystarczała, aby uwolnić się od pożycia z mężem. Kto inny więc spełnił zbrodnię. Idzie tylko o to: kto i dlaczego? Owe pieniądze, które zginęły tej nocy z pokoju hrabiego, a których nie znaleziono przy hrabinie, doprowadzą nas może do odkrycia śladu zbrodniarza. Hrabina nie potrzebowała zabierać pieniędzy męża, bo ma majątek własny i to dość znaczny. Był kto inny, dla kogo ten majątek był pokusą do zbrodni. Idźmy za jego śladem. Był to któryś z domowników, który wiedział o zamiarze ucieczki hrabiny i uchwycił tę sposobność, by z niej skorzystać. Hrabina z początku miała inny zamiar, do którego szlachetne jej urodzenie nie pozwalało jej przyznać się publicznie, ale który ja, jako obrońca, wbrew nawet woli mojej klientki podnieść muszę.

Hrabina zrobiła gwałtowne poruszenie, jakby go chciała wstrzymać; ale obrońca nie zważając na to mówił żywiej:

— Nie mogąc pogodzić obowiązków żony z innym uczuciem, które coraz bardziej owładało jej serce, postanowiła samobójstwem skończyć tę straszną walkę i w tym celu

postarała się o truciznę, której jednak nie użyła i nad śmierć hańbiącą przełożyła ucieczkę. O truciznie tej i o miejscu, gdzie się znajdowała, wiedział zbrodniarz. Któż mógł wiedzieć. Przypomnijmy sobie, że hrabina posyłała najprzód służącego z receptą, nie chcąc się sama kompromitować i zdradzać w obec aptekarza.

Wszystkich oczy zwróciły się na służącego, który blady, zielony prawie, utkwiał sztywne oczy w mówiącego i zdawał się słuchać uważnie, ale w rozszerzonych oczach zamiast uwagi malowało się nieprzytomne przerażenie, jakieś ogłupienie, jakiego doznają ludzie w obec jakiegoś niespodziewanego a strasznego zjawiska.

— Otóż służący ten — mówił dalej obrońca — wiedział, że ta trucizna znajdowała się w biurku hrabiny, wiedział o jej ucieczce i powziął piekielny zamiar skorzystania z tego w celu przywłaszczenia sobie pieniędzy hrabiego. Ten morderca pierwszy doniósł sądowi o popełnionej zbrodni, a ta okoliczność wraz z wieloma innymi sprawdziła śledztwo z istotnego śladu.

— To nie prawda! — zawołał nagle służący ośniony ze swego osłupienia — to nie prawda!

Obrońca zdawał się nie słyszeć tego protestu, nie zważał wcale na świadka, jakby nie o nim mówił i patrząc ciągle na sędziów ciągnął dalej:

— Nie moją rzeczą wskazywać winnego; sąd go łatwo znajdzie po tych śladach, które tu przytoczyłem. Dla dokładniejszego wyjaśnienia sprawy pozwolę sobie tylko zwrócić uwagę wysokiego sądu na jedną okoliczność, a mianowicie, że jak się ze śledztwa pokazało, hrabia wypił truciznę w szklance grogu, który zwykł był pić przed pójściem spać. Hrabina od pewnego czasu żyła całkiem odosobniona od męża, nie widywali się całkiem. Ktoś inny więc musiał wsypać truciznę, ktoś co miał dostęp łatwy i częsty do jego pokoju. Zważywszy to wszystko, co tu powiedziałem, ośmielam się prosić w imieniu mej klientki, aby wysoki sąd unieważnił dotychczasowe śledztwo, świadka wyżej przezemnie wspomnianego uwięził i na podstawie podanych przezemnie poszlak rozpoczął śledztwo na nowo.

Głośnie oklaski rozległy się po sali. Publiczność niespodziewająca się takiego obrotu sprawy nie mogła powstrzymać wybuchu radości, okazując tem jawnie sympatię dla pięknej obwinionej i uwielbienie dla jej obrońcy.

Tymczasem sąd udał się na ustęp dla powzięcia uchwały. W czasie ogólnego ruchu w sali, jakiś człowiek rzucił się nagle ku drzwiom, przedarł się przez stojących tam pachołków i strażników i wypadł z sali. Był to właśnie służący hrabiego, który usiłował uciec. Pochwycono go jednak i przyprowadzono napowrót. To usiłowanie ucieczki, którą chciał się uratować, potępiło go teraz; przed wyrokiem sądu wydał już wyrok na siebie i potwierdził trafne podejrzenia obrońcy. Toteż ledwie sąd ogłosił, że przychyła się do żądania obrońcy i postanowił uwięzienie poszlakowanego, i na tem zakończył rozprawę, mnóstwo osób cisnęło się do trybuny

adwokackiej, ściskano ręce obrońcy, winszowano mu ze wszystkich stron i obsypywano pochwałami; a hrabina, która nagle ze zbrodniarki stała się ofiarą niegodziwej zbrodni, ze łzami w oczach dziękowała mu za uratowanie jej czci i dobrego imienia. Był to świetny tryumf dla początkującego adwokata.

Stary Dylski był także w sali. Można sobie było wyobrazić, co mu się działo, gdy widział takie powodzenie syna; duma i zadowolenie rozpięły jego piersi; nie mógł się powstrzymać, by nie objaśnić obok stojących, że jest ojcem tego, który tak świetnie prowadził obronę — i przez cały czas obrony stał z wyciągniętą naprzód głową, otwartymi ustami, zapatrzony, zasluchany. Nie tylko jednak sam syn był wyłącznym przedmiotem tej nadzwyczajnej uwagi Dylskiego. Pomiędzy świadkami, którzy stawali w procesie hrabiny, był jeden, którego wymówione nazwisko, wstrząsnęło nim konwulsyjnie i skierowało jego uwagę na człowieka, który nosił to nazwisko. Był to ów stróż nocny, człowiek około siedmdziesiąt lat mieć mogący, trochę już głuchy, pochylony i schorowany; miał na sobie chłopską siermięgę, nazywał się zaś Bartłomiej Dyl. Dziwnie może wyda się to komu, że Dylski w tak ważnej chwili zwrócił uwagę na tego chłopca. Wyjaśni się to może skoro powiemy, że to był jego ojciec.

Cała bowiem historia o śmierci rodziców, którą opowiadał Dylski w czasie, gdy jeszcze jako mały Jędrus Dyl, zjawił się w Krakowie, była zmyśloną, a zrobił to przebiegły chłopak z obawy, by go nie odesłano przymusowo do rodziców od których uciekł, aby w świecie dochrapać się czegoś, wyjść na człowieka. Nigdy potem nie starał się dowiedzieć, co się stało z jego rodzicami. Mając wyteżoną uwagę naprzód, by iść coraz wyżej, nie dbał o przeszłość, chciał nawet zupełnie zatrzeć ją w swojej pamięci, by się nie potrzebował wstydić przed ludźmi za swoje chłopskie pochodzenie. Gdy naraz po tylu latach przeszłość ta odezwała się do niego, a sędzia, który wymówił nazwisko ojca jego, zdawał się przypominać mu obowiązki, którym się sprzeniewierzył. W pierwszej chwili Dylski przeląkł się, jak złodziej schwytany na uczynku, obejrzał się z przestrachem w około, bo mu się zdawało, że wszyscy obecni mogli się domysleć, iż ów chłop jest ojcem jego. Było to złudzenie, nikt nie uważał na niego; nawet na chłopca mało zwracano uwagi, bo bardzo nieznaczącą rolę grało jego świadectwo w procesie. Dylski ochłonął z przestachu. Potem nieśmiało skierował oczy w stronę, gdzie stał ów chłop. Ciekawość ciągnęła tam jego oczy, chciał zobaczyć, jak wyglądać może człowiek, którego nie widział lat przeszło trzydzieści i mało co zapamiętał, a lubo uczucia rodzinne przez ten czas stępiły się całkiem w jego sercu; to przecież nie mógł bez pewnego wzruszenia patrzeć na starca, który mu dał życie i coś jak wyrzut sumienia ruszyło się w głębi jego duszy. Podczas procesu kilka razy mimo woli ukradkiem pooglądał na staruszkę, był rozstrojony, niespokojny, potraçał łokciami obok stojących i deptał im po nogach nie wiedząc o tem.

Kiedy sędziowie zamknęli posiedzenie.



i publiczność poczęła ruszać się i wychodzić, Dyłski mimowoli spojrzął znowu w stronę, gdzie stał Bartłomiej Dyl i widział jak jeden z pacholków dał mu znak, że może już iść; chłop niezgrabnie skłonił się do nóg mówiącemu i wyszedł. Dyłski wyszedł także na korytarz. W tłumie ludzi schodzących po schodach odróżnił łatwo siermięgę białą, ta siermięga więziła jego oczy i uwagę i szedł za nią. Sam nie wiedział dla czego idzie, coś go ciągnęło. Może to było uczucie rodzinne, które odezwało się w nim i upomniało się o swoje prawa; może to była próżność dobrokowicza, którą chciał zaspokoić zadziwieniem, jakie spodziewał się zrobić na ojcu, gdyby mu się przyznał, że jest jego synem, a ten, który dziś zyskał taką sławę swoją obroną, jest synem jego syna; Dyłski nie zdawał sprawy z kogo dla czego idzie, szedł jak lunatyk pociągany siłą silniejszą niż jego uprzedzenia.

Stary Dyl nie domyślił się wcale, że był przedmiotem tak pilnej obserwacji; szedł sobie powoli, zatrzymując się tu i owdzie i gapiąc się, zwyczajnie jak prostak, którego wszystko dziwiło i odurzało. Tak idąc potrzebował dość dużego czasu zanim doszedł na Kleparz; tu zwrócił się na lewo do jednej z karczem i wszedł do szynkowni. Dyłski obserwował go przez okno, widział jak stary usiadł pod piecem przy jakiejś kobiecie w średnim wieku, która mogła być jego drugą żoną a może córką, i począł jej coś opowiadać. Potem dobyli z kobiałki kawałek słoniny i chleba, a stary kazał szynkarzowi nalać sobie półkwaterek wódki. Kobieta zbliżyła się także ku światłu. Dyłski po podobieństwie twarzy domyślał się, że to prawdopodobnie będzie jego siostra. Serce mu silniej zabiło, przypominały mu się dziecięce lata. Wspomnienia takie choćby były najdawniejsze mają dziwny urok dla nas, urok jaki ma dla nas każda rzecz, którąśmy bezpowrotnie stracili. Wspomnienia te pociągały go coraz bliżej do rodziny. Pod pozorem napicia się wódki wszedł do szynkowni i stanął tuż obok siostry. Z początku nie śmiał spojrzeć jej w oczy, i potrzebował chwilę czasu, zanim pierwsze wzruszenie przeszło, zanim się uspokoił i ośmielił zapytać udając obojętność:

— A wy zkąd?

Kobieta spojrzała na niego niebieskimi oczami tak jakoś życzliwie i rzetelnie, że mu się aż gorąco zrobiło, nie wiadomo czy z radości czy z przestachu, i odrzekła:

— My od Fryszaku, wiecie kaj?

— I wy z samego Fryszaku?

— A kaj zaś. My są z Niedźwiedzicy.

Dyłskiemu żywiej zabiło serce, gdy usłyszał nazwisko wsi, w której się urodził. — Przyjechaliście pewnie do znajomych w mieście? — spytał Dyłski doświadczając ich, czy przypadkiem nie dowiedzieli się zkąd o miejscu jego pobytu.

— My tu przyjechali skrós owego procesu pani hrabiny. Tatusz stajali na świadka.

— I nikogo tu w mieście nie macie ze znajomych?

— Nikogo — rzekła obojętnie kobieta.

Dyłskiego brała chęć spytać ją się, czy go nie poznaje, powiedzieć: ja wasz syn, brat; — ale wnet opamiętał się i poskromił

tę chęć, gdy mu przyszło na myśl: co potem będzie? Trzebaby rodzinę zaprowadzić do do siebie, do syna, a co by Jan na to powiedział, co by na to powiedzieli ludzie? — Zapłacił prędko za wódkę i wyszedł z karczmy, podążając szybko ku miastu tak mu pilno było uciec jak najdalej od przeszłości swojej, do której przyznać się nie miał odwagi. Idąc powtarzał sobie dla uspokojenia: — To być nie może. To byłoby wielkiem głupstwem z mojej strony.

Gdy wszedł w ulice zaludnione, ruch i wrzawa wytrzeźwiły go z chwilowego rozczulenia, w jakie go wprowadził widok ojca i siostry, począł myśleć o czem innem, a najwięcej rozmyślał o dzisiejszem powodzeniu syna, które otwierało mu wrota do świetnego losu. Stary już teraz nie mógł wątpić, że syn jego wyjdzie wysoko. Marzenia jego tyloletnie miały się spełnić na koniec; nie długo już trzeba było czekać na to. Ale im bliżej był mety, tem bardziej cierpliwość opuszczała go. Radby był co prędzej przenieść się do syna i rozpocząć życie szczęśliwe, błyszczące, pańskie, do którego zawsze wzdychał; ale nie śmiał przypomnieć się z tem synowi; czekał aż sam mu zaproponuje, aby porzucił służbę i odpoczął przy nim. Janowi spełnienie tego życzenia stawało się codziennie łatwiejszem, gdyż rzeczywiście od czasu owego procesu hrabiny S. praktyka jego adwokacka bardzo się powiększyła. Świetna i sprytna obrona, z której się dał poznać, pociągała ku niemu klientów nawet takich, których sprawy uważać można było za przepadłe. Szli oni do niego w nadziei, że dla tak zdolnego adwokata nic nie będzie niepodobnem. To zaufanie pochlebiało dumie Jana i podjął się nawet kilku takich spraw, które inni adwokaci odrzucili, nie widząc możliwości wygrania takowych, podjął się właśnie dla tego, że były trudne, że trzeba było rozwinąć niesłychany spryt, energję i zdolność do dobrego ich przeprowadzenia. Było to dla niego ćwiczeniem. A ponieważ parę tych spraw ukończył szczęśliwie; więc sława jego jako zdolnego adwokata z każdym dniem się wzmacniała a klienci szli jak procesją do jego kancelarii.

Jan nie dał się odurzyć tem powodzeniem, nie przyjmował, co mu w rękę wchodziło, ale zimno i trzeźwo obliczał i tylko takie sprawy przyjmował, które mu zysk znaczny albo rozgłos przynieść mogły. Sprawy małej wartości, mało zawile, gdzie pretensje skarżących nie podlegały żadnej wątpliwości, i wymagały tylko pewnych sądowych formalności, aby mogły być zaspokojone, nie przedstawiały dla niego żadnego interesu i nie chciał zajmować się takimi błahostkami. Brał tylko sprawy większego kalibru, gdzie zdolność i działalność adwokata miała szerokie pole do popisu i do korzyści. Szczególniej z upodobaniem podejmował się obrony fałszywych banknotów, szwindłów bankowych, wyrafinowanych oszustw; były to sprawy wymagające znajomości stosunków handlowych i finansowych, sprawy zawile, ciemne i mętne, i właśnie dlatego dające sposobność użycia najozmaitszych fortelów, wykrętów i kruczków. Klientami byli tu przeważnie ludzie

majątni, rozchodziło się o wielkie sumy, to też i honorarjum bywało odpowiednie.

Takie procesy powiększały prędko dochody Jana, powiększały także jego rozgłos i sławę, ale ujemną. Zyskał imię zdolnego adwokata, ale o uczciwości jego wątpliwie się wyrażano; działalność jego budziła przestach i podziw; ale sympatji mu nie zjednała. Nawet ci, dla których brudnych spraw narażał się na taką opinię, po ukończeniu interesu zdaleka trzymali się od niego, uważając go za adwokata niebezpiecznego, zdolnego do wszystkiego. Używali go, gdy im był potrzebny, a odrzucali ze wstrętem, gdy niebezpieczeństwo minęło.

Jan miał sposobność przekonać się o tem usposobieniu dla siebie ludzi podczas wyborów na posła. Ambicja jego, ośmielona dotychczasowem powodzeniem, popchnęła go do starania się o krzesło poselskie. Począł więc robić starania, korzystał ze znajomości, jakie mu nastęrczyła praktyka adwokata, i z pomocą swoich klientów usiłował uzyskać potrzebną ilość głosów. Był nawet u Józefa, którego wpływ u klas rzemieślniczych mógł mu wiele pomódz. Nie wstrzymała go wcale od tego kroku ta okoliczność, że dotąd nie był nigdy u niego, że go nie znał prawie. Śmiały do bezczelności Jan, nie robił sobie z tego żadnego skrupułu, wytłumaczył bratu, że nie może od niego wymagać, aby żyjąc w odmiennych warunkach miał się zmuszać do pożycia z nim, że takie naciągane gwałtem stosunki dla obydwu byłyby tylko ciężarem, że jednak to nie wpłynęło wcale na osłabienie jego braterskiego przywiązania i chętnie korzysta ze sposobności zbliżenia się do niego na polu politycznem.

— Jest to grunt — mówił — na którym spotykać się możemy i wspólnie działać i pomagać sobie. Ty w swojej sferze przyszedłeś do pewnego wpływu, którego będziesz mógł teraz użyć korzystnie dla podniesienia naszego nazwiska. Wybór mój na posła będzie także zaszczytem i dla ciebie, nie mówiąc już o korzyściach, które będziesz mógł ciągnąć przezemnie, gdy zostanę wybranym i wejdę do sejmu. Musimy się wzajemnie wspierać i pomagać sobie, aby dojść do czegoś.

Józef wysłuchał spokojnie mowy brata, pełnej sofizmatów i udanej serdeczności, nie robił mu żadnych wyrzutów, nie starał się wykazywać mu fałszywości i obłudy, ale z godnością i bez uniesienia odmówił mu swego poparcia.

— Robię to — rzekł mu otwarcie — nie z osobistej jakiej niechęci i urazy, ale po prostu dla tego, że dotychczasowe życie twoje nie daje mi żadnej gwarancji, iżbyś mógł odpowiedzieć należycie obowiązkom posła i reprezentować interesa naszej klasy rzemieślniczej. Nie odmawiam ci zdolności, wiem, że znasz interesa i potrzeby nasze, ale to nie dość znać, trzeba mieć dla nich uznanie i życzliwość. Aby być naszym reprezentantem, nie dość jest ścisnąć dłoń szewca lub stolarza w chwili wyborów, trzeba żyć z nimi dłużej, szanować ich stan i uznawać jego potrzebę w społeczeństwie. A ty nie jesteś człowiekiem, jakiego nam potrzeba. Masz inne pod tym względem po-



jęcia. Znam cię lepiej niż inni i dla tego nie mógłbym z czystym sumieniem polecić cię moim towarzyszom. Na posła nie dość jest być zdolnym, trzeba być prawym, umieć interesu publicznego stawiać wyżej nad osobiste korzyści i ambicję, a ty do tego niezdolny. Wiem, że ci się dobrze powodzi, że masz rozgłos, jako zdolny adwokat, ale przyznam ci się, że mnie to twoje powodzenie nie cieszy, że sława, jaką sobie zyskałeś kilkoma ostatnimi procesami, wcale nie robi zaszczytu naszemu nazwisku. Wolałbym, aby ludzie więcej mówili o twojej prawości niż zdolności.

— Więc nie będziesz głosował za mną? spytał Jan przerywając moralne uwagi brata, które go już niecierpliwie zaczynały.

— Nie — odrzekł Józef krótko i stanowczo.

Na tem skończyła się rozmowa braci. Rozeszli się bez pożegnania więcej jeszcze omdleni i obojętni dla siebie, niż przedtem.

Jan jednak nie zrażony odmową brata, robił na innej drodze starania o pozyskanie sobie głosów. Nikt nie był tak szczery jak Józef, aby mu otwarcie wypowiedzieć swoje zdanie o nim, pozornie nawet przyrzekli mu niektórzy popierać go, ale nie myśleli wcale dotrzymać przyrzeczenia, bo znając Jana, wiedzieli, jak niebezpiecznym byłoby oddawać jakąkolwiek władzę takiemu człowiekowi.

Stało się więc, że gdy przyszło do wyborów — Jan miał zaledwie kilka głosów. Był to zbyt wyraźny objaw ogólnej niechęci. Zrozumiał go Jan i upokorzony tem cofnął się ze wstydem z areny politycznej do swej kancelarii, jak pajak do kąta, pełen jadu i nienawiści do ludzi. Zawód, jaki go spotkał, popchnął go stanowczo na drogę, do której okazywał wrodzoną skłonność, na drogę, którą rozmijała się z tem wszystkiem, co ludzie nauczyli się czcić i szanować, która miała zaprowadzić go w górę do znaczenia i majątku za jakąbądź cenę. Nie szło mu już teraz o to, jak nabędzie majątek, tylko, aby go nabył. Tą potęgą chciał zdobyć sobie znaczenie i steroryzować opinię. Nie szło mu już o to, co ludzie będą mówić o nim, owszem wstręt i przestrach, jaki budziły niektóre jego czyny, zdawał się zadawać jego duszę. Nie mogąc zmusić ludzi, by go szanowali, robił teraz wszystko, aby się go bali, nie mogąc zarobić sobie na dobrą sławę, postanowił sobie być wielkim w złem. Żadne względy go już nie krępowały — nie miał nic do stracenia. To też szedł na przebój wśród złorzeczeń i przekleństw tych, których skrzywdził, był patronem zbrodni i z szatańską radością pracował nad tem, by zbrodnia z podniesionem czołem przechadzała się swobodnie po świecie i urągała z opinii ludzkiej. Nie wahał się w wyborze środków, gdy mu szło o przeprowadzenie jakiej sprawy — wszystko było dla niego godziwem, cokolwiek nie dało się podciągnąć pod paragrafy kodeksu karnego. Prawa używał na obronę bezprawia. W tym względzie rozwinął niepospolitą zdolność i czynność i zyskał sobie tę smutną sławę, która go zrobiła bożyszczem zbrodniarzy. Po kaźniach kryminału kursowały o nim cudowne legendy i każdy zbrodniarz, gdy mu prawo zostawiało wolność wyboru adwokata, jego wybierał. Jan

jednak unikał obrony zwyczajnych ordynarnych zbrodniarzy, opłacał im się nawet, by go uwolnili od tego zaszczytu; tylko wielcy zbrodniarze mieli w nim gorliwego obrońcę, i to szczególnie tacy, którzy się dobrze opłacać mogli. Jan umiał takich eksploatować, a chciwość jego znaną była i wyrównywała jego zdolnościom. Tam, gdzie szło o powiększenie majątku, nie wahał się w wyborze choćby najniegodziwszych środków. Jako przykład podamy jeden epizod z jego przewrotnej działalności w tym względzie:

Rodzina Świrskich zaplatała się w długi i zawiły proces o jakiś duży spadek po hrabi Hieronimie Górskim z rodziną hrabiego, która im tego spadku zaprzeczała i na mocy praw swoich testament unieważnić się starała. Proces ten trwał przez lat kilkanaście, Świrscy prowadząc go uporczywie, rujnowali resztki własnej fortuny, dla niepewnych milionów opłacając wysokie koszty procesu i adwokatów, których kilku z kolei podejmowało tę sprawę. Ostatecznie dostała się ona do rąk Jana, który jednak pomimo całego sprytu i gorliwości, jaką rozwinął, nie mógł doprowadzić tej sprawy do pożądanego rezultatu i proces tyloletni zakończył się przegraną a zarazem ruiną Świrskich. (C. d. n.)

## STUDJA O SZTUCE W POLSCE

Skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Wystawa obrazów we Lwowie w r. 1875.

I.

Jan Matejko.

W kompozycjach historycznych szukamy wielkich myśli, w historyczno-rodzajowych wystarczy myśl drobniejsza, byle ją artysta ze szlachetnej ujął strony i narysował na tle historycznem. Do rzędu tych drugich utworów należą między pracami Jana Matejki: „Stańczyk“, „Wit Stwos“, „Zygmunt i Barbara“, „Sędziwój“, „Borkowicz“, „Kochanowski nad zwłokami Urszuli“, i „Zawieszenie dzwonu Zygmunta“. Z tego, co w przeszłym tygodniu powiedziałem na tem miejscu o obrazach prawdziwie historycznych, jasno ponoć wypływa, dla czego powyżej wyszczególnione zaliczam do historyczno-rodzajowych. Historycznemi są one dla tego, że na każdym z nich spotykamy bądź osoby, bądź zdarzenia zanotowane na kartach naszej historii, — a rodzajowemi, ponieważ myśl, która im przewodniczy, nie ma dziejowej doniosłości. Bez Unji, Batorego, Skargi i Rejtana, nie ma historii Polski; ale jest ona prawie cała bez Stańczyka, Wita Stwosza, miłości Zygmunta i Barbary, Sędziwoja, Borkowicza, Kochanowskiego gdy cierpi nad zwłokami dziecka, i dzwonu Zygmunta. Co więcej, wszystkie te sceny, jakkolwiek wydarte z naszych dziejów, mogłyby się łatwo powtórzyć, a nawet powtarzały się nieraz w innych epokach i u innych narodów, nie tracąc nic na swoim charakterze i swoim znaczeniu. Czyż ten błazen, (Stańczyk) nie mógłby tak samo dumać w komnacie Filipa II. którego dwór szalał, gdy strumienie krwi niewinnej lały się w Hiszpanji? A ten zbolący

kochanek, do którego Iona ta strojna kobieta tak namiętnie się tuli, (Zygmunt i Barbara) czyż to nie pierwszy lepszy magnat z ubiegłych wieków, choćby zresztą król jaki, którego nieszczęśliwa miłość niepokoi? Czyż jak Wit Stwos nie może wyglądać tysiąc innych ludzi, jak Borkowicz pierwszy lepszy brygant skazany na śmierć przez zagłodzenie, jak Sędziwój, każdy alchemik na dworze któregośkolwiek króla, a jak Kochanowski każdy szlachetniejszy i z wyższym umysłem ojciec, bolejący nad zwłokami ukochanej dziewczeczki? Zawieszenie zaś dzwonu w obec dworu monarszego czyż tysiąc razy nie powtórzyło się w innych miejscach i u innych narodów?

Patrząc na historyczne dzieła Jana Matejki muszę wszystkie postawić na równi pod względem ważności pomysłów. Zdaniem mojem nie ma między nimi wznioślejszych i niższych; każdy jest epokowy. Natomiast w jego utworach historyczno-rodzajowych dostrzegam uderzającą skalę w pomysłach. Jak to rozumiem, zaraz wytłumaczę. Ważniejszym będzie w każdym razie ten pomysł, który jako pełniejszy co do swojej strony psychicznej, jest tem samem trudniejszym do wykonania. W kompozycjach rodzajowych najtrudniej przedstawić ludzi z pełnym i wybitnym charakterem, to też najwięksi tylko artyści kuszą się o to; łatwiej już takich, których oglądamy pod wpływem przemijającego uczucia lub wrażenia chwilowego, a najłatwiej ludzi obojętnych. Pierwszych znajdziemy tylko na trybunie, w boju, wśród walki życia rodzinnego, w kościele; drugich nie trudno spotkać w czterech ścianach każdego domu, a trzecich widzimy co krok na ulicy. Otóż trzymając się tych wskazówek, których ważność okazuje się najdobitniej w utworach scenicznych, muszę w pierwszym rzędzie ustawić Stańczyka, Wita Stwosza i Kochanowskiego, albowiem w pierwszych dwóch widzimy potężne charaktery, a w trzecim potężne uczucie; po nich przyjdzie kolej na Zygmunta i Barbarę, których piersi wypełnia także szlachetne uczucie miłości, lecz za to nie zbyt szczęśliwie uwydatnione, co później wyjaśnię, — na końcu zaś staną Borkowicz, Sędziwój i dzwon Zygmunta.

„Borkowicz“ jest zbrodniarzem na wskrós, którego dusza w złem zahartowana tak na wszystko zobojętniała, że stanął na równi z dzikim zwierzem, którego nawet widok śmierci nie przeraża; „Sędziwój“ to genjalna facecja, coś w guście farsy scenicznej, główny bowiem bohater pokazujący królowi kawałek przez siebie zrobionego złota, ma na twarzy zadowolenie i dumę, zamiast chytryści i obludy, które w rzeczywistości przecież być musiały, wiadomą bowiem rzeczą, że żaden alchemik prawdziwego złota nie zrobił, lecz każdy z nich swoich chlebobdawców najhaniebniej oszukiwał; a co do dzwonu Zygmunta, to wzięty „sam dla siebie“, ma on znaczenie przedewszystkiem dekoracyjne. Fakt zawieszenia dzwonu, jest sam w sobie zbyt drobiazgowy by mógł wywołać głębsze wrażenia na twarzach osób, które były świadkami tej uroczystości. Na takim obrazie artysta potrzebował wymalować tylko piękne twarze i piękne szaty, co też Matejko uczynił aż do zbytku, gdyż to uroczystość dworska — etykieta — pełna kokietery — dekoracyjna.

„Dzwon Zygmunta“ ustawiony obok „Iwana groźnego“, ma natomiast znaczenie, że się tak wyrażę, krytyczne, ale nad tem zastanowimy się uważniej dopiero wtedy, gdy będziemy mówili



o tendencji, o ogólnym duchu, wiejącym zgodnie prawie z wszystkich dzieł Mistrza krakowskiego.

Z kolei wypada wspomnieć jeszcze o pomysłach Jana Matejki w jego kompozycjach religijnych i portretach. Co do pierwszych, wystarczy jeśli nadmienię, że wymalował „Wskrzeszenie Łazarza“ i „Posłannictwo N. Panny Marji“. Każdy przyzna, że pierwszy jest pomysł stary, bo tysiące razy używany. W tym więc kierunku nie dał nam nic nowego. Obrazu drugiego nie widziałem do tej chwili. Co do portretów na koniec to o pomysłach tem znaczeniu, jak to powyżej określiłem, w portretach osób nam współczesnych, nie odgrywających głównej roli wśród starożytniejszych, mowy być nie może. Nie słyszałem zaś aby Matejko malował jakąkolwiek osobistość, któraby mogła być uważaną za przedstawiciela naszych czasów.

Pozostaje zatem portret historyczny.

Z portretów historycznych dał nam dotąd jeden tylko. Jest nim Kopernik.

Są portrety historyczne, a wystarczy, jeżeli tu wspomnę o papieżu Leonie X. portretowanym przez Rafaela, które dobrze obmyślane i odpowiednio do pomysłu wykonane, stanowią same skończoną kompozycję, prawdziwe dzieło historyczne. Jedna taka postać może nam dać obraz czasów, w których żyła, a nawet całej epoki. Kopernik, ten mąż wielkiej pracy i zimnej, bo matematycznej nauki, który wstrzymał słońce w biegu, a ziemię kazał wirować; Kopernik, który mimo „przymieszki mistycyzmu“, był „przede wszystkim badaczem natury i człowiekiem wielkiego rozumu“, Kopernik, który żył w epoce Reformacji, kiedy rozum zaczął wieszać spór z wieloma rzeczami, podtrzymującymi wiarę, a które nie wytrzymały jego krytyki; ten Kopernik, który swoim odkryciem obalił jeden z przesądów, uświęcony wiekami — mógł być takim portretem prawdziwie historycznym, epokowym, gdyby Jan Matejko pojął go był właściwie i wykonał stosownie do pomysłu. Tymczasem stało się wręcz przeciwnie. Zamiast Kopernika, który rozumem i doświadczeniem doszedł prawd przedtem nieznaną, Mistrz krakowski dał nam postać błędnie wyidealizowaną, człowieka, który miał objawienie, a „przedewszystkiem mistyka“, któremu chyba duchy powiedziały, że ziemia wiruje a słońce stoi. Jeżeli takim był Kopernik i takim cały wiek jego, to na co tych narzędzi i znaków astronomicznych, których zimna obecność klóci się z obliczem głównej osoby, zachwyconej mistycznie?... Pomysł to więc chybiony, a jeżeli dodamy wymuszoną, teatralną, co więcej, prawdziwie komiczną pozę Kopernika, to wcale dziwić się nie będziemy, dla czego ta kompozycja nie robi dodatniego wrażenia.

Wspomniałem w miejscu właściwym, co nie jednemu mogło się nie podobać, że krytyka nasza przeceniała czasem Jana Matejkę. W Koperniku mamy tego pierwszy dowód. Gdy się ta kompozycja pojawiła, wszystkie pisma wołały: arcydzieło! a ogół przypuszczając, że się nie rozumie na sztuce, wrzasał ramionami i nic nie mówił. Ogół, jakkolwiek z wrażeń odniesionych na widok dzieła sztuki sprawy sobie nie zdaje, ma jednak zmysł cudowny, instynkt niezrównany, który w sędzię niemal zawsze na prawdziwą wprowadza go drogę. Chcemy być wyrazem tego ogółu, gdy z naciskiem raz jeszcze powtarzamy, że „Kopernik“ jest na wskroś chybionym portretem historycznym.

Wszystko, com dotąd powiedział, odnosi się wyłącznie do pomysłów Jana Matejki. Niech to czytelnika nie dziwi, że przy tej jednej części mego założenia zatrzymałem się tak długo, rozbiegając ją wedle możliwości. Pomysł jest rzeczą ważną, bo to fundament, na którym gmach stawia. W drugiej połowie XIX wieku, gdy sztuka prawie wszędzie ograniczyła się samym prawie rysunkiem i kolorytem — pomysł wielki stał się rzadkością, i dla tego to prócz jednego Kaulbacha, Jan Matejko nie ma na tem polu współzawodnika. Ztąd też pochodzi, że każda historyczna praca Mistrza krakowskiego, chociażby pod względem wewnętrznego układu nie zawsze bez nagany wykonana — dla samej potęgi myśli w niej zawartej, pada zawsze jak grom, wywołując dokoła okrzyki uwielbienia.

Nie sądzę, by to kogokolwiek zdziwiło, że mówiąc o portrecie historycznym, przeciwstawiłem Matejce taką potęgę jak Rafael. Mistrza krakowskiego nie można porównywać z pierwszym lepszym artystą, a ponieważ nie raz dał nam już wiele, więc przy każdej sposobności możemy do niego żądać wiele; że zaś w pomysłach historycznych jest potężnym, genialnym, mierzmy go zatem miarą potęgi i genialności innych mistrzów.

Tyle o pomysłach. Teraz przypatrzmy się, jak Jan Matejko wykonywa swoje pomysły.

(C. d. n.)

## Kobiety w Algierze.

Napisał

Dr. Jan Stella Sawicki.

(Ciąg dalszy.)

W życiu wojennem mieszkańców północnej Afryki kobiety grają bardzo ważną rolę. W najgorętszych bitwach krzykami wzbudzają męstwo w swych mężach i kochankach, odnosząc rannych z pola bitwy, a tchórzów zmuszając wracać, śmiejąc się z nich lub grożąc śmiercią, jeżeli bić się nie będą. Czasami nawet kobiety przewodniczą w bitwach, a wtedy walka bywa najzaciętszą, bo póki żyje przewodniczka, „proch za nią mówi“, jak poetycznie wyrażają się Arabowie, bo im wstyd porzucać broń, dopóki ta nie wypadła z rąk słabego stworzenia, które było na ich czele.

Nie raz się zdarzało, że poróżnione plemiona nie mogły się pogodzić, chociaż mężczyźni obu stron bardzo chcieli tego, i chociaż wybrani usunęli już wszelkie przeszkody do zawarcia pokoju, — bo się wstydzili stanąć przed żonami nie zemściwszy się, nie otrzymawszy znacznego plonu. „Co nasze żony powiedzą? One wstydzą się być, jeżeli bić się nie zechcemy, one nie będą nam gotować kuskusu!“ Czyż to nie jest średnio-wieczny, rycerski pogląd na kobiety?

Według zwyczajów uświęconych przez czas, wdowa po szejku rządzi plemieniem, a do pomocy jej dodaje się rada starszyzny. Jeżeli przybierze nowego męża, małżonek jej zostaje szejkiem. Żeby pokazać jaką władzę mają panujące kobiety w stepach Sahary, opowiem jedną z krwawych scen zemsty arabskiej.

Ben Mansur, szejk Uargły, wzięwszy w niewolę Keddasa, szejka Dżebel-Hoggaru, kazał mu odciąć głowę i wywiesić na wrotach stolicy.

Gdy się o tem dowiedziano w Dżebel-Hoggarze, wszyscy przywdziali ciężką żałobę. Nowe małżeństwa nie były zawierane, nikt do siebie

gości nie przyjmował, nie golił głowy, nie pozwalał sobie uściskać żony, i każdy wołał: „Niech mój namiot będzie zniszczony, jeżeli Keddasz nie będzie pomszczony!“

Szejk zostawił młodą żonę i dziecię. Fetum była wysoka i piękna, z błękitnymi oczyma, jak wszystkie kobiety z plemienia Tuaregów; charakter jej był wzniosły i szlachetny, chociaż bardzo mściwy. Często siadłszy na mohari, towarzyszyła mężowi w wycieczkach i bitwach, głosem wzbudzała męstwo w walczących i razem z nimi znosiła znużenie, głód i pragnienie. Według prawa ona miała panować nad plemieniem przy pomocy rady. Piękność Fetum i znaczenie, któreby otrzymała ten, co ją pojął za żonę, były przyczyną, że dobijających się o jej rękę było bardzo wielu.

Razu jednego, gdy się rada zebrała w jej namiocie, rzekła:

— Bracia moi, ten kto mi przyniesie głowę Ben Mansura, otrzyma rękę i serce moje.

Tegoż wieczora cała młodzież uzbroiwszy się stanęła przed nią.

— Jutro my idziemy z naszymi sługami po ślubny podarek dla ciebie, piękna władczyni.

— Ja jadę z wami! — odpowiedziała Fetum.

Ze wschodem słońca trzystu Tuaregów pod dowództwem Uld-Biska, siostrzeńca Keddasa, poszło na północ, kierując się ku stolicy wroga. Na pierwszym noclegu przyłączyła się do nich Fetum, palająca zemstą.

Było to na początku maja, po deszczach. Parowy wszystkie napelniły się wodą, a piaski pokryły się trawą. Szpiegowie donieśli, że z Uargły wyszła część plemienia pod dowództwem Ben-Mansura, i pasie bydło około Ked-Nasa. Tuaregi, idąc dzień i noc, na ślad ich wpadli. Ukryci za wałem piaszczystym, który przeszłoroczny samum zbudował, doczekali się nocy, a idąc za odgłosem szczekania psów w obozie nieprzyjacielskim, napadli na śpiących i prawie wszystkich w pień wycięli. Jeden z uciekających, pełniętą dzidą Uld-Biska, padł na ziemię z konia, tuląc w objęciach siedmioletniego syna.

— Czy znasz ty Ben Mansura? — zapytał dziecko Uld-Biska.

— Znam, bo on był moim ojcem — odpowiedziało dziecko z płaczem, obejmując trupa rodzica.

Fetum przybyła w tej chwili otoczona świtą.

— Ja zabiłem Ben-Mansura! — wykrzyknął Uld-Biska — wypełnij teraz słowo twoje.

— Słowa mego dotrzymam — odpowiedziała Fetum — lecz dopełnij zemsty i weź sżytelet, rozporz pierś wroga mego i rzuć serce jego psom na pożarcie.

Uld-Biska ukląkł nad trupem i wypełnił jej straszny rozkaz. Fetum stała obok ciesząc oczy tą okropną zemstą, a gdy psy skończyły ucztę, siadła na mohari i dała znak do odwrotu. Syna Ben-Mansura nie zabili, lecz porzucili na miejscu. Zostawał on trzy dni płacząc nad trupem ojca, zgłodniały i spragniony. Tam znalazł go na w pół martwego pasterz z plemienia jego i odprowadził do matki. W piętnaście lat po tym krwawym wypadku, byłem jego gościem. Sam opowiadał mi ten straszny epizod z życia swego; jest on naczelnikiem plemienia i pała zemstą ku wszystkim Tuaregom.



Obyczaje dziewcząt w oazach posuniętych najbardziej na południe Sahary są dość lekkie, ale Arabowie patrzą na to bardzo pobłażliwie. Słyszałem jak starzy ludzie mówili nieraz do synów i wnuków:

— Idźcie do ogrodów bawić się z dziewczętami, i pamiętajcie dobrze, że młodzieńcze lata raz tylko dane w życiu człowieka.

Dziewczęta są zupełnie swobodne, przechadzają się pod cieniem palm kiedy się im podoba, i mogą widzieć się z mężczyznami, nie zakrywając twarzy. Tylko żony szeryfów, kadich i marabutów nie wychodzą bez zasłony. Na jednej oazie bardzo długo rozmawiałem z młodą kobietą arabską przez tłumacza, i nie zapomnę odpowiedzi, którą mi dała na zapytanie, jakich przymiotów wymagają one od mężczyzn.

— Mu lubimy, żeby mężczyzna był zawsze dobrze ubrany, dobrze strzelał, nie był skąpy, zrzęcznie jeździł na koniu i umiał dochować sekretu, a od męża, żeby ani jednego dnia nie zapomniał, że ma żonę.

Dowiedziawszy się, że przyjeżdżam z kraju, który niedawno walczył z Turkami, nie mogła pojąć, jak odważyłem się przyjechać do Algieru.

— Szkoda ciebie, bo jesteś młody, zabija cię koniecznie, bo jesteś nieprzyjacielem naszych panów.

Jak powiedziałem wyżej, Arabowie pustyni na swobodne, a nieraz rozpustne nawet życie swych dziewcząt, patrzą bardzo pobłażliwie. Zdarzało się, że dyspotuwałem razy kilka z Arabami o tym przedmiocie.

— Sidi, odpowiadali mi, kobieta prowadząc wolne życie naucza się żyć, poznaje ludzi, poznaje obowiązki żony i matki. Jeżeli dziewczyna ma dzieci, tem lepiej, bo mąż ma gotowych robotników i pomocników w uprawie roli, a im więcej głowa rodziny ma dzieci, tem większe jego znaczenie w plemieniu. Dla prostego człowieka wdowa, rozwódka, albo dziewczyna mająca dzieci jest najlepszą małżonką, bo wie dobrze jakie są obowiązki żony. Przeszłość żony do niej tylko należy i mężczyzna nie ma prawa żądać z niej rachunku.

Z tego powodu i z tego zapatrywania się na życie kobiety, zdarza się często widzieć tu dziewczęta, które zostając przez przeciąg lat kilku ofiarą publicznej niewstrzeźliwości, jak wyraża się Proudon, i uzbierawszy dość pieniędzy, przechodzą do plemion więcej oddalonych i tam wychodzą za mąż. To się nazywa u Arabów: zbieraniem posagu.

Wszystko, cośmy powiedzieli w tym względzie, ma swoje wyjątki. W rodzinach arystokratycznych i bogatych bardzo zwracają uwagę na to, żeby opinia żon ich dzieci do zamążpójścia nie była skalana.

Jeżeli czystość obyczajów kobiet do ich zamęścia nie zwraca wielkiej uwagi, to po wyjściu za mąż za niewierność srogie kary czekają występna. W czasie panowania Turków, nóż rozstrzygał los niewiernych żon w stepach, a w Kabilji zaszywano je do woru i rzucano w przepaść z wysokiej skały. W Konstantynie jest stroma skała, która do dziś nosi nazwę „skały cudzołóżnic.” Za panowania Francuzów kara śmierci za występki przeciw małżeńskiemu wierności zamienioną została na rozwód.

Rozwody między Arabami są bardzo częste, a przyczyną temu Koran. Chcąc zwiększyć liczbę wiernych, Mahomed musiał pozwolić na wielożenstwo i częste rozwody, gdy z jakichkolwiek

przyczyn nie ma sympatji między żoną i mężem. Prorok, czyniąc rozwód tak łatwym dla stron obudwóch, miał na celu, żeby mężczyzna i kobieta zawsze byli połączeni przyjaźnią i szacunkiem, i żeby mężczyzna nie mógł bezkarnie obrażać tej, którą wybrał sobie na towarzyszkę.

Jednak gdy mąż oddała żonę swoją bez winy z jej strony, posag, który on dał przy zawarciu ślubu, przy niej zostaje, bo Prorok powiedział. „Jeżeli rozwiedziesz się z żoną, której zapisałeś posag, a żeby pojąć drugą, zostaw tej cały posag. Zechcesz że odbierać niesprawiedliwie owoc twej wspaniałomyślności od osoby, z którą byłeś ściśle połączony, i która odebrała przysięgę twoją? Bądźcie ludzkiimi z żonami swemi, a szlachetnymi, gdy je oddalacie.” (Koran Roz. II.)

Kiedy mężczyzna chce się rozwieść z żoną swoją, zostawiając jej posag, mówi do niej:

„Ty jesteś wolną.” — albo

„Ty jesteś grzechem dla mnie.” — albo

„Twój sznur jest na twoich plecach.”

Po wyrzeczeniu słów tych przez męża, kobieta jest zupełnie wolną i może wyjść za mąż za drugiego. Lecz gdy mąż chce się rozwieść z żoną za jej niewierność, powinien udać się do kadiego. Przysięga męża jest dostateczną. Jeżeli zaś przedstawia świadków, ci pod przysięgą powinni powiedzieć: „Widzieliśmy.” W niektórych wypadkach, przy takim publicznym obwinieniu, mianowicie jeżeli mężowie są wysokiego rodu, kobieta bywa karana śmiercią, bo Koran powiada: „Jeżeli która z żon twoich popełniła cudzołóstwo, zwołaj czterech świadków; jeżeli świadectwa ich przeciw niej są jednogodne, zamknij ją w domu twoim, póki śmierć jej życia nie skończy.” (Roz. IV.)

Lecz i żona ma prawo rozwieść się z mężem, jeżeli on nie wypełni jakiegokolwiek obietnicy wyrażonej w akcie ślubnym; rozwód ten może dać tylko kadi.

Najczęstszą przyczyną rozwodów jest skarga na męża, że on zaniedbuje żonę. Obrażona staje przed kadim i mówi:

— Panie, mąż mój nie ma wstydu żadnego i nie słucha głosu religji, w imieniu której ja go obwiniam; nie jest on mężem, bo na mnie patrzeć nie chce, pocóż więc zostawać z nim będę?

Kadi zwykle odpowiada:

— Masz rację, córko moja, religją kobiet jest miłość; idź, jesteś wolną. — Oto i wszystkie formalności rozwodu.

Do pośrednictwa kadiego udają się tylko kobiety niższej klasy, bo jeżeli wymagają następstw małżeństwa, przekonane są, że nie tylko mają prawo, lecz że i wypełniają swój obowiązek. Klasy zaś wyższe, kończą zwykle sprawy takie sekretnie i bez żadnego skandalu.

Zapytywałem raz jednego Szambi (plemień arabskie w Saharze) czy chciałyby żony ich żyć pod prawem europejskiem.

— Nie myślą, odpowiedział, bo nasze żony żałowałyby opieki kadich. (C. d. n.)

## Starożytność kuli ziemskiej

i

nico z dziejów jej rozwoju.

Przez

DR. F. H. KLEINA.

Historja rodu ludzkiego, którą tak długo nazywano równie dumnie jak niesprawiedliwie

„historją świata“, poucza nas, że życie narodów podobne jest do życia jednostki: występują na widownię, wpływają jakiś czas działając na bieg wydarzeń, i giną potem napowrót w ciemniach zapomnienia. Gdzież są dziś Grecy, przed laty tysiącami naród cywilizacyjny Zachodu? Ustąpili z widowni dziejów, zniknęli, zostali wyniszczeni, jak Fallmerayer twierdzi. Podobnie działają się z wielu innymi i potężnymi narodami starożytności, pokryły je mogiły w biegu stuleci. W tym względzie różni się rodzaj ludzki zupełnie od ziemi, na której żyje; scena została, lecz aktorowie zniknęli.

Góry, o których wspominają najstarsze pomniki dziejów, podnoszą dziś jak przed wiekami swe szczyty; dziś jeszcze płyną rzeki, które historja starożytności wymienia, przez równiny, gdzie odgrywały się dzieje przedwiekowe. Minęło więcej jak trzydzieście stuleci od czasu, kiedy Mojżesz zgromadził dzieci Izraela u stóp Sinaju, a jeszcze kąpią się w chmurach olbrzymie skały tych gór; dziś jeszcze jak za greckich czasów jest Stromboli świecznikiem morza tyreńskiego, i dziś równie jak przed trzema laty tysiącami toczy Nil do morza Śródziemnego żółte swe, użyźniające wody. Tak przedstawia się nam niezmienne oblicze ziemi, a tylko ludzkość, z której powstają państwa, zostaje w ciągłym ruchu, podlega bezustannym zmianom. Lecz nie ludzmy się! Nie ma nic trwałego prócz zmiany samej, nie ma w stworzeniu nic niezmiennego; niebo i ziemia przeistaczają bezustannie swe oblicze! Jeżeli nie jesteśmy w stanie zmian tych natychmiast postrzedz, to leży li w ograniczonosci naszych zmysłów. Patrząc na zielony liść drzewa pewnie na nim nie dostrzeże żadnej zmiany, a przecież takowa istnieje, chociaż prawda dopiero po dłuższym czasie rzuca się w oczy. Podobnie dzieje się ze zmianami na powierzchni ziemi; aby je dostrzedz, trzeba często lat tysięcy.

Biblia nie wyjaśnia nam procesów geologicznych pierwszych czasów.

Inna to księga, na którą powołuje się umiejętność. Przed jej oczyma rozwarta leży wielka księga przyrody, w której potężnymi rysami wpisane są dzieje rozwoju ziemi. A ta księga nie myli się! Ludzkość jednakże nie zawsze była w stanie czytać tę księgę, musiała bowiem dopiero nauczyć się mowy, w której ona napisana została. Jak trudną zaś jest podobna nauka, pojmie łatwo, kto zważy, że tu nauczyciel i uczeń w jednej osobie połączeni byli i są jeszcze obecnie.

Wobec tak uciążliwych warunków, nie zadziwi zapewne nikogo, że bardzo późno, gdyż w najnowszych dopiero czasach, udało się zrozumieć mowę księgi przyrody. Nic też dziwnego, że niejednokrotnie zbłądzi gorliwy badacz, szczególnie u wstępu na tę drogę i że w ogóle wypadnie pominąć niejeden ważny rozdział w księdze rzeczowej, nie odczytawszy go z tej prostej przyczyny, iż go odczytać niepodobna!

Ale czegoż to dowodzi, jeżeli badacz przyrody przyznaje się otwarcie, że co do wielu zagadnień jest jeszcze dotychczas poniekąd nieukiem, albo że ma dane, o których sam powątpiewa? Otóż wyznanie takie jest rękojmią rzetelnej jego pracy. Gdyż teraz już może dowieść, że zbadał dokładnie poważną ilość faktów, że je poznał, że co do dziejów samej ziemi, uchylił tajemniczą zasłonę i odgadł jaką jest posać jej w głównych zarysach. Do uzupełnienia brak tu jedynie szczegółów pojedynczych: wielki budynek



dźwignął się, choć bez ozdób jeszcze, a podwaliny jego szczególniejszą są trwałe.

Zarzucono niejednokrotnie umiejętności przyrodniczej, a przede wszystkim geologii, że z rezultatu jej badań nie wypływa stworzenie ziemi od słowa wszechmocnego: Stań się! Wywnioskowano dalej, że nauka przyrodnicza popadła w błąd i że zawrócić się jej wypadnie. Otóż zarzuty podobne nie mają najmniejszej podstawy rozsądnej. Umiejętności przyrodniczej zakres jest ograniczony, nie może ona docierać aż do stworzenia ziemi, wolą wszechmocy powstającej; jej zadaniem bowiem wnikięcie w samą tylko naturę. Umiejętność więc przyrodnicza musi uważać naturę jako rzecz daną, i tak też ją bada, nie sięgając po za granice jej istnienia. Tych granic nie przekracza żaden badacz przyrody.

Krok za krokiem śledzi geologia rozwój ziemi aż do punktu, w którym okoliczności zatrzymać się nakazują. Tą zaś metą nieprzepartą jest okres, w którym nasza kula ziemską znajdowała się w stanie chaotycznym, w którym była oceanem ognistym. W owym stadium przedstawiała ziemia kulę, w której zawarte były wszystkie żywioły dziś widoczne, ale w stanie płynnym. Nie urojenie to badaczów przyrody, gdy mówią, że ziemia znajdowała się w stanie takim, ale że tak było w istocie, dziś nie ulega to już najmniejszej wątpliwości, jakkolwiek niepodobna tu wyliczać wszystkich dowodów przemawiających za tem twierdzeniem. Nie od rzeczy jednak będzie, jeżeli zwrócimy uwagę na pewną okoliczność, poczytywaną od dawna jako argument, popierający zdanie o płynnym stanie pierwotnej kuli ziemskiej. Otóż ziemia nie jest kulą doskonałą, jest raczej spłaszczoną u biegunów, lub, rzeczby także można — wydętą falisto u równika. Podobnaż ukształtowanie się jej takie przypisać tylko przypadkowi? Twierdzenie podobne byłoby nielogicznym, zwłaszcza wobec podobieństwa, które dostrzeżono pomiędzy ziemią a innemi ciałami niebieskimi. Ale istota rzeczy wyjaśni się nam sama przez się, skoro przypuszczimy, że ziemia była w stanie pierwiastkowym zupełnie miękką, i że w skutek ruchu obrotowego została spłaszczoną.

Nie łatwiejszego, jak sprawdzić to przez doświadczenie na małe rozmiary. Przetknijmy np. przez wilgotną kulę glinianą cienki pręt żelazny, i za pomocą tej osi puśćmy w ruch wirówkę kulę, a przekonamy się że kula spłaszczy się u biegunów; płaskie te pola zaś wystąpią tem widoczniej, im szybszym był obrót kuli. Ziemia nasza nie obraca się tak szybko około własnej osi, i dla tego to i spłaszczenia jej nie są zbyt znaczne, wynoszą one tylko 1/298 najdłuższego jej przecięcia. Inne ciała chociaż o wiele większe od naszej ziemi, jak Jupiter np. obracają się jednak szybciej około własnej osi, a w skutek tego i spłaszczenia ich są daleko większe. Dopiero co przytoczony fakt wystarcza na poparcie twierdzenia, że ziemia nasza była w czasach zamierzchłych jednolitą masą płynną. Musimy także postawić jako pewnik, że na stan jej miękkości nie mogła wpłynąć woda, ale żywioł przeciwny, upał zatem, ogień. Wypada bowiem rozważyć, po pierwsze, że na zamienienie w stan płynny takiej masy za mało jest wody na ziemi, a powtóre, że w wodzie nie roztopiłyby się wszystkie cząsteczki z których składa się ziemia.

Oczywista, że w owych czasach nie mogły znajdować się istoty żyjące, zamieszkujące na

ziemi, przedstawiała się ona bowiem jako chaos dziki, jako widownia ognistych a bezładnych sił olbrzymich. Atmosfera była niewypowiedzianie parną, przesyconą nieprzeliczonemi rodzajami gazów, może nawet plonącemi, a których dziś na szczęście nie dostrzegamy. (C. d. n.)

## ISMAILIA

przez

**SAMUELA W. BAKER.**

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

### IX.

**Uroczystość przyłączenia Gondokoro do Egiptu.**

Zakończywszy dzień wesoło, zabraliśmy się napowrót do zwykłych naszych zajęć, budując magazyny, przywiezione z sobą, a pokryte blachą dla bezpiecznego przechowania amunicji. Kłopoty codziennie się zwiększały; uciekło nam kilku żołnierzy, chroniąc się do wsi Barysów, którzy mimo kilkakrotnych przestróg ciągle bydło swoje przypędzali na nasze pastwisko, aż w końcu zniecierpliwiony oświadczyłem, że jeśli raz jeszcze stado ich ukaże się na moim brzegu, zostanie przezemnie zabrane. Mimo tych gróźb, na drugi dzień rano widzę bydło najspokojniej pasące się na mojej stronie; kazałem je zaraz spędzić, wysyłając dziesięciu ludzi z pulku noszącego nazwę „Czterdziestu złodziei“, który wzięty w rygor wojskowy był teraz jednym z najlepszych moich oddziałów. Ludzie ci, przedstawiając rozkaz mój pastuchom, zagnali bydło do obozu, podczas gdy pasterze wrócili sami na swoją wyspę opowiedzieć Szejkowi o zaszłym fakcie.

Na drugi dzień przybyło do obozu wraz z Alloronem piętnastu starszyzny, prosząc o wydanie 200 sztuk zajętego bydła, a składając powód zaszłych nieporozumień na Allorona, który nie jest ich właściwym Szejkem, lecz Morbé, z dziada pradziada rządzący nimi, a dopiero w ostatnim napadzie plemienia Loquiów, straciwszy całe swoje mienie, a z niem i wpływ na podwładną sobie ludność, od władzy się usunął. Lecz dziś cała ludność ich osady, pomna rozsądnych rządów Morbégo, chce go powtórnie na gośność szejka wynieść, żywiąc nadzieję, że ze zmianą ich naczelnika nieporozumienia dalsze miejsca mieć nie będą. Dodali przytem, że ciągle posucha tak wypaliła wszelką trawę na ich wyspach, iż stawia ich to w konieczności prosić o pozwolenie, by nadal mogli paść bydło na pastwiskach znajdujących się w otoczeniu obozu.

Uznawszy po części ich usprawiedliwienie, a żądanie wynikające z braku możności wyżywienia bydła uważając za słuszne, przystałem na ogłoszenie Morbégo szejkiem, co w mojej obecności zostało natychmiast uskuteczniłem, i to w obec Allorona, który zdawał się być wielce ucieszony z pozbycia się ciężaru rządzenia. Odebrawszy solenne zapewnienie od nowo obranego szejka, iż rozporządzeniom moim podlegać będzie, przyrzekłem go z mojej strony popierać, ilekroć tego okaże się potrzeba, a przy końcu

układów zapewniłem sobie dostawę budulcu, trawy na poszycie, i pewną ilość wołów, za wynagrodzeniem z góry umówionem. Bydło kazałem wypuścić, pozwalając na dalsze używanie mego pastwiska, a chcąc im dać tem większy dowód ufności, powierzyłem ich pieczy moje trzy krowy, które przywieziono mi z okolic Bahr, uprzedzając jednakże, że jeśli uroda w czemkolwiek dotrzymaną nie była, bydło ich powtórnie zostanie zabrane.

Nowe te zapewnienia żadnego nie wywarły skutku, i oprócz kilku wiązek bambusu, wraz z trawą potrzebną do poszycia chałup, nic zresztą nie dostarczyli do obozu. W kilka dni dopiero zjawił się nasz tłumacz Tomby, oznajmiając, że Barysi nie chcą dotrzymać przyrzeczeń, gdyż są przeciwni ustaleniu rządu w tej okolicy; w razie jednak gdybyśmy chcieli złączyć się z nimi, aby napaść na ich nieprzyjaciół, Loquiów, wszystko nam ułatwią z największą chęcią.

Oto jest oś, około której ciągle kręci się polityka murzynów; w nią to zostali wciągnięci handlarze kości słoniowej, zamieniając swój pierwotny przemysł na handel niewolnikami. Każde plemię szuka przymierza z przeważną siłą, dla zgniecenia jakiego silnego sąsiada; wtedy jeńcy wojenni zostają niewolnikami. Kiedy po raz pierwszy kupcy zapuścili się w głąb Afryki, rozgałęzili swój handel w okolicach białego Nilu, zakupując kość słoniową, którą mieniali za paciorki i tombakowe bransolety.

Wkrótce jednak kompanje handlarzy zostały wciągnięte w przymierze z mieszkańcami; zaczęli więc napadać na sąsiednie plemiona, grabiąc ludzi i liczne stada bydła, które stawały się własnością zdobywców. Niedługo handlarze odkryli, że system tej kradzieży, o wiele jest łatwiejszym, kosztowniejszym i korzystniejszym, aniżeli mozolne prowadzenie towarów z Khartum, dla zamienienia ich na kość słoniową. Wtedy to pierwotny handel zamienił się w rabunek bydła i polowanie na ludzi, wzrastając szybko do zaskarżających rozmiarów.

Widziałem, że byłoby rzeczą daremną, prowadzenie dalszych rokowań z ludźmi, którzy byli najniegodziwszym i najpodstępniejszym plemieniem barbarzyńskim.

Misjonarze opuścili ich, jako niepoprawnych; odtąd byłem pewny, że nic prócz przemocy nie zdała ich pokonać.

Wydałem tedy rozkaz zajęcia bydła, które codziennie pało się spokojnie na naszej trawie, poczem nastąpiło powtórzenie wszystkich poprzednich przyrzeczeń. O wiele chłodniej przyjąłem tym razem piękne obiecaniki, oświadczaając, że chociaż bydła nie konfiskuję, zostanie ono jednak u mnie, jako zastaw upewniający mnie o ich szczerości, a w końcu dodałem, że wybiorę sobie kilka wołów, za które im zapłacę. Tak się zakończyły ostatnie nasze rokowania. Kilka dni upłynęło, a żaden mieszkaniec nie pokazywał się u nas; także o dotrzymaniu zawartej ugody nie myśleli. Dopiero 26. Czerwca napadli nas Barysi nocą w liczbie kilkunastu, usiłując odbić swoje krowy. Straż dała ognia, nie zraniwszy nikogo, i taki był początek pierwszych naszych wojennych zatargów.

Od dnia tego byliśmy ciągle niepokojeni nocą; wprowadzie te zaczepki kończyły się zwykle na kilku strzałach, wojna jednakże była już rozpoczęta i wsie na wyspie przeciwległej naszemu obozowi stały opuszczone. Postanowiłem przeto oddać Barysom wet za wet, wybierając się zbroj-



nie w odwiedziny na ich wyspę, która ciągnęła się na długość siedmiu mil angielskich.

## X.

### Otwarta wojna z okolicznymi mieszkańcami.

Po wydaniu stosownych rozporządzeń, o trzeciej z rana d. 3. Lipca r. 1871 odplynęło pięć łodzi, z sześćdziesięcioma ludźmi, spuszcza-  
jąc się cicho wschodnim kanałem rzeki, z rozka-  
zem zatrzymania się na krańcu wyspy. W tym  
samym czasie dwie kompanje wojska wylądowały  
na brzeg przeciwny naszej stacji, ukrywając  
się, póki parostatek na którym znajdowałem się  
z drugimi dwiema kompanjami żołnierzy, oka-  
lając górną część wyspy nie stanie w pozycji na  
zachodnim kanale. Wtenczas kolumny wojska  
miały się poruszyć, postępując wzdłuż wyspy,  
podczas gdy parostatek biegł szybko z prądem  
wody. Płynęliśmy tak czas jakiś spokojnie, nie  
zwracając niczyjej uwagi, póki plusk wody, roz-  
trącanej kołem, nie został usłyszany przez Barysów;  
wtedy suchy odgłos bębna rzucającego alarm  
powtórzył się w różnych kierunkach. Zwolniliśmy  
w biegu w zamiarze zatrzymania łodzi lub bydła  
wrazie, gdyby mieszkańcy chcieli przerznąć się  
na zachód. Cały nasz plan rozwijał się bardzo  
pomyślnie; nagle, gdy tak płyniemy, robiąc dzie-  
więć mil na godzinę, parostatek uderza na  
mieliznę, i zatrzymuje się jak zaklęty. Po pró-  
żnych usiłowaniach zepchnięcia go na głębszą  
wodę, zostawiłem Raufa-Beja, polecając mu by ze  
statkiem zrobił co będzie mógł, a sam puściłem  
się w łodzi, razem z porucznikiem Bakier i sze-  
ścioma żołnierzami z pułku „Czterdziestu Złodzie-  
jów“ w zamiarze złączenia się z dwiema kom-  
panjami pułkownika Abd-el-Kadera, które cią-  
gnęły przez wyspę. Po półgodzinnym wiosłowa-  
niu wzdłuż brzegu, miarkując oddalenie po cza-  
sie potrzebnym na przebycie kanału, sądziłem,  
że musimy być niedaleko punktu którym postę-  
puje Abd-el-Kader ze swoim oddziałem; kaza-  
łem zatem dobiec do brzegu i niebawem złączy-  
liśmy się z nim na wyspie. Puściwszy się dalej,  
szliśmy czas jakiś nie spotykając ani jednego  
człowieka na wyspie, która zdawała się całkiem  
bezludną. Wkrótce miejscowość poczęła się zmie-  
niać; grunt uprawny durą zmienił się na ziemię  
mokrą, zasłaną wysokim szuwarem i zdeptaną  
częstym przecho-  
dem bydła; ponieważ położenie  
zrobiło się niebezpieczne dla swych zarośli, roz-  
rzuciłem więc tyralierkę, postępując dalej z ca-  
łą ostrożnością. Prawie w tej samej chwili ozwały  
się z przodu strzały w odległości mniej więcej  
dwóch mil angielskich. Na ten odgłos ruszyliśmy  
szybko naprzód, zrobiwszy jednak kilkanaście  
kroków, zostaliśmy nagle wstrzymani głębokim  
kanałem rzeki na trzydzieści łokci szerokim.  
Z drugiego brzegu dolatywały nas tymczasem  
głosy rogów i ryczenie bydła; trzeba było zatem  
nie tracąc czasu przerznąć się granicą gęstego  
lasu trzymając się ciągle brzegu rzeki. Po kró-  
tkim ale mozolnym pochodzie przez zarośle, wy-  
szliśmy wprost Nilu w sam czas właśnie, by je-  
szcze zobaczyć gromadę Barysów, jak z licznem  
stadem bydła przepływała szeroką rzekę, chro-  
niąc się bezpiecznie do lasu. W jednej prawie  
chwili moi ludzie znajdujący się na krańcu wy-  
sipy z łodziami, puścili się w pogoń za ucieka-  
jącymi. Barysi nie przypuszczając, żebyśmy aż  
na przeciwny brzeg za nimi dotarli, raz do-  
stawszy się do lasu, wolno dalej się cofali. Moi  
murzyni znakomicie biegali, natrafiwszy więc na  
ślad uciekających, ruszyli jak sfora wypuszczo-

nych psów, otaczając ludzi i bydło. Opór był  
słaby; moi ludzie zwinęli się prędko, zajmując  
kilkanaście sztuk bydła — i koło szóstej po po-  
łudniu stanęliśmy z naszą zdobyczą w obozie,  
zmęczeni i okropnie głodni. Od poprzedniego  
wieczora nie mieliśmy nic w ustach, łódź bowiem  
z żywnością minęła się gdzieś z nami, i byłem  
nawet o jej los dosyć niespokojny. Na drugi dzień  
dopiero zjawila się z całą załogą w dobrym zdro-  
wiu; — wpłynąwszy na zły kanał, wpadła w la-  
birynt trzciny i zarośli, gdzie w towarzystwie  
chmury muskitosów musiała noc przepędzić.  
Nad ranem wypłynęła ze swojej kryjówki i wkrót-  
ce spotkała znaczniejszy oddział Barysów, który  
załogę gęstemi przywitał strzałami. Tu nastąpiło  
opowiadanie pełne heroiczych czynów żołnierzy  
moich, które podług świadectwa wioslarzy i me-  
go służącego ograniczyły się na ukryciu na dnie  
łodzi, przed strzałami dzikich. — W tym to cza-  
sie przyszło do ścisłego sojuszu Belinian z tu-  
tejszymi Barysami, i w kilku okazjach łącząc się  
z nimi, napadali na nas. Wkrótce po naszej  
wyprawie na wyspę Barysów, ci ostatni razem  
z Belinianami uderzyli na nasz obóz, uprowadza-  
jąc bydło, przyczem zabili mi jednego żołnierza  
strzałą, a dwóch ranili dzidą. Tego było już za  
wiele na moją cierpliwość, postanowiłem zatem  
dotarłszy do wsi Belinian siłą poskromić ich zu-  
chwałość.

Wydałem zaraz stosowne rozkazy, i wpół  
do pierwszej w nocy wyjechałem konno z mojej  
kwatery, w towarzystwie porucznika Bakiera i  
pułkownika Abd-el-Kadera z dwudziestoma ludź-  
mi z pułku „Czterdziestu złodziei“ udając się  
wprost do głównego obozu. Tam czekały na nas  
w pogotowiu cztery kompanje i jedno działo.  
Z uderzeniem pierwszej godziny wyruszyliśmy  
w drogę, zachowując największe milczenie, żeby  
o ile możliwości ująć baczności ustawicznie krę-  
cych się szpiegów. Przewodnikiem naszym był  
tutejszy mieszkaniec Sherum, który od samego  
początku przystał do nas, wraz ze swoim przy-  
jacielem Morgianem, i od czasu ucieczki Tomby,  
który przyłączył się do naszych nieprzyjaciół,  
dwaj ci sprzymierzeńcy, dobrze znający arabski  
język, byli dla nas nieocenionej wartości naby-  
tkiem.

Z początku droga nasza prowadziła przez  
otwarte łąki, gdzie niegdzie urozmaicone grupami  
drzew; po dwu milowym pochodzie weszliśmy  
w gęsty i cienisty las. Tu armata, zawadzając  
co krok o drzewa bezdrożnego lasu, zatrzymy-  
wała nas ciągle w marszu; pokonawszy tę zaporę  
weszliśmy na przestrzeń mokrego gruntu, i tu  
konie nasze zapadły się głęboko w kałużach,  
których przy panującej ciemności nie było można  
ominąć. Pułkownik Tayib Agha dowodził trzema  
kompanjami idącymi w asekuracji działa, i często  
musiał udzielać pomocy artylerzystom w ciężkiej  
ich pracy około ciągnięcia armaty.

Noc upływała, a że i deszcz zaczął padać,  
nie można więc było dłużej zabawiać się z dzia-  
łem bezustannie grzęznącym w błocie; postano-  
wiwszy coprędzej ruszyć naprzód, zostawiłem  
przy oddziale Tayb Aghi jednego przewodnika.  
Wpół godziny dostaliśmy się na przestrzeń su-  
chą, las przerzedniał, okolica zamieniła się z le-  
sistej na otwartą i pagórkowatą, a powoli chmu-  
ry się rozdzieliły i deszcz przestał padać. Szli-  
śmy ciągle spiesznie naprzód, robiąc cztery mile  
ang. na godzinę, gdy wszedłszy na rozległą prze-  
strzeń, ocienioną tylko grupą olbrzymich drzew,  
wznoszących się po prawej stronie, przewodnik

nasz nagle stanął, dając znak byśmy się także  
wstrzymali. Znał on doskonale miejscowość, za-  
den krzak ani drzewo nie było mu obce; zatrzy-  
mawszy nas, cichutko oznajmił, że ponieważ je-  
steśmy w pobliżu wsi, a więc wypada nam za-  
czekać na naszą arjergardę. Była już piąta go-  
dzina i chociaż maszerowaliśmy bezustannie od  
pierwszej w nocy, nie znajdowaliśmy się dalej jak  
9 mil ang. od Gondokoro.

Przez pół godziny czekaliśmy daremnie na  
naszych. — Na niebie nie pokazała się ani jedna  
gwiazda, dokoła było ciemno i nie mogliśmy nic  
jeszcze na dalszą odległość widzieć; w końcu za-  
częło szarzeć i przed nami ukazały się czarne  
grupy, rozrzucone w lewo i prawo. Były to wsie.  
Szara pomroka ustępowała nadchodzącej jasności  
dnia, ptaki rozbudzone zaczęły już świergotać  
wesolo. Nie mogąc zatrzymać się dłużej, puścili-  
my się cicho i ostrożnie w dalszą drogę. Postę-  
pując czas jakiś w głębokim milczeniu, mijaliśmy  
na przemian, to pojedyncze drzewa, lub odłamki  
lasu, to łąny nieuprawne lub wysoko rosnące  
durą zasiane. Naraz ostry i przeszywający krzyk,  
znak zbliżającego się niebezpieczeństwa u dzi-  
kich, ozwał się za nami; był to sygnał dany przez  
jakiegoś stróża, któregośmy nie uważając minęli;  
jednocześnie krzyk ten powtórzył się w różnych  
kierunkach. Nie mieliśmy czasu do stracenia,  
gdyż mieszkańcy byli już zawiadomieni o naszym  
pochodzie. Jednym skokiem przewodnik nasz wy-  
padł na ścieżkę, pędząc naprzód jak szalony,  
za nim podążyliśmy puszcza-  
jąc nasze konie galo-  
pem, i w kilka chwil ujrzelśmy na dość szero-  
kiej przestrzeni dużą zagrodę otoczoną ociernio-  
nym parkanem.

(C. d. n.)

## Wiosna.

Wiosna! Wiosna się budzi!... W młodej listków zieleni,  
W chórze muszek brzęczących radośnie —  
I gdzie słuchać, gdzie spojrzeć, wszystko szczęściem promieni,  
Wszystko mówi i śpiewa o wiosnie!  
Wonne wierzby nad modrym pochylone strumieniem,  
I dziękczynne skowronków kapele,  
I poranek uśmiechem, i wiatr ciepłym westchnieniem  
I całego stworzenia wesele!

Wiosna! Wiosna się budzi!... Ja ją widzę i słyszę  
W tym przeczystym niebiosów błękiecie,  
W niezmierzanej harmonji co napełnia tę ciszę,  
W własnej duszy nieziemskim zachwycie;  
W dźwiękach, które nademną drżą gdzieś w ofiarach powie-  
W woniach, co się do koła unoszą. [trzných,  
I w płynących z mej piersi modłach cichych, serdecznych,  
I w łach moich co biegną z roskoszą!

Wiosna! Wiosna się budzi!... Z każdym ptakiem i kwiatem  
Wszystkim, wszystkim pragnęłabym wieści,  
I jak wietrzyk majowy ulatywać nad światem  
I tem słowem jak srebrem szeleścić...  
I jak rzeczka gdzieś płynąć w nieskończoną dal jasną  
Przez fioletki i złote pierwiosniki,  
Skrzydła przypiąć do ramion bo mi ziemia za ciasną,  
I w blask rozwiać, rozplynać się w piosnki!...

Wiosna! Wiosna się budzi!... Ile szumów i gwarów  
W leśnej znowu rozlega się guszy,  
Tyle marzeń i rojeń, tyle dziwów i czarów  
W głębiach mojej odzywa się duszy!  
Myśli tęskne i błogie w ciągłej sobie rozterce  
Kłótnie wiodą bez końca różową...  
O mój Boże! — więc prawda, że i zmarłe to serce  
Budzi się wiosną miłości na nowo?

Maj 1875.

Marja B



# IDEALISCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

Tom II.

Rozdział I.

Zakłady, które poprzegrywał p. Alfred, były grubsze niż zwykle bywały w kółku, w którym się poruszał w mieście, ale musimy zważyć, że objad w klubie przeciągnął się był do późna, i że *Roederer carte blanche* odgrywał przy nim bardzo znaczną rolę, ze względu na dzień tak uroczysty. P. Alfred przypominał sobie wprawdzie, że zamówił Bergera do hotelu, ale pod wpływem boskiego płynu, który szczególnie zaostczać ma władze umysłowe, przypominał sobie także, co mu przedtem nie wpadło było na myśl, a mianowicie, że była to sobota, i że wszelkie negocjacje z owym szanownym izraelitą w skutek tego odłożone być musiały aż do pojawienia się pierwszych gwiazd na niebie, lub do dnia następnego. Prawo Mojżesza zabraniało p. Bergerowi obdierać goimów częściej jak przez sześć dni w tygodniu, ponieważ atoli był to człowiek umiejący korzystać z czasu, więc goimowie nic na tem nie tracili, i owszem, gdyby sabbath przypadał był co drugi dzień, byłiby równie dokładnie obdartymi jak to się działo w warunkach obecnych. Wszelako, myśl o tem koniecznem odroczeniu interesów do jutra wpadła p. Alfreda w humor tak różowy, jakiegoby nie był zdolną wywołać sam *Roederer*. Są ludzie, dla których kłopot odroczone jest kłopotem na razie zupełnie usuniętym a p. Zgorzelski należał do ich rzędu. Ztąd, zakładał się i przegrywał z wszelką swobodą umysłu i był przytem tak wesół, że hr. Józio i p. Pepi powzięli niemałe wyobrażenie o dobrym stanie jego kasy.

Wyścigi odbywały się zwykłym trybem i skończyły się biegiem z płotami, w którym zamiast cywilnych dżentelmenów, brali udział sami oficerowie od jazdy. W ogóle, ilu widziałeś na błoniach potomków rycerskich rodzin Nałęczów i Sasów, Korczaków i Grzymalczyków, Szreniawitów i Korwinów, wszyscy oddawali się namiętnościom sportu pieszo. Konno, oprócz oficerów, wystąpili tylko: jeden dyrektor banku, jeden księgarz, i dwaj kupcy, handlujący zbożem. Hrabia Kropiowski, jakkolwiek sam przyjechał dorózką na plac spotkania, nie mógł przecież utaić swojego zgorszenia z tego powodu, i narzekał mocno na teraźniejszą młodzież szlachecką, w istocie stanowiącą objaw niepospolicie sprzeczny z arystokratyczną teorią darwinistów o dziedziczności przymiotów fizycznych moralnych. Narzekanie to kosztowało p. Alfreda jeszcze jedną setkę, bo dało powód do nowego zakładu. Dowcipny p. Pepi odparł bowiem hr. Kropiowskiemu, że od kąd piechota rozstrzyga wszystkie bitwy, mąż stanu rycerskiego nie potrzebuje jeździć konno, ale powinien za to posiadać „charakter w nogach“.

— Ja trzymam się tej zasady, i podejmuję się np. piechotą dobiec do mety pierwszej, niż Margules na swoim koniu!

P. Abraham Margules był właśnie jednym z owych nielicznych konnych miłośników sportu, których wymienilem. Miał piękne rudawe bokbrody, pantalone *Pipita*, i buty z żółtymi sztylpami; w ogóle prezentował się jak masztalerz z domu, w którym więcej dbają o cele praktyczne niż o szyk i modę. P. Alfred rozśmiał się i po-

wiedział, że tym razem Pepi przesadził nieco, bo gniadosz p. Margulesa na czterech nogach zawsze pobiegnie prędzej, niż on na dwóch. Słowo po słowku, przyszło do zakładu, w którym pp. Margules i Zgorzelski stawili każdy po setce przeciw p. Pepiemu. Gdy ekwipaże i dorózki z widzami potoczyły się z powrotem ku miastu, ustawiono zapasników: hr. Józio pełnił obowiązki startera, a hr. Kropiowski sędziego. Na dany znak p. Pepi puścił się pędem prosto do mety, podczas gdy gniadosz w sposób niedwuznaczny dał do zrozumienia swojemu jeźdźcowi, że na dziś ma już dosyć tej zabawki, i woli wracać do miasta. Między wolą człowieka, jego cugłami i szpicrutem, a uporem zwierzęcia, rozpoczęła się tedy walka, której rezultatem było krążenie p. Margulesa na gniadoszu w kółko na około hr. Józia, tak jak rezultatem sił ciągnących ziemię ku słońcu i ciągnących ją w przeciwnym kierunku, jest ruch odkryty przez Kopernika. P. Pepi stanął już był u mety, kiedy gniadosz spostrzegłszy zapewne, że teraz jego panu przyjdzie płacić zakład, ocknął się, wierzgnął i ruszył z kopyta ku miastu, nie oglądając się nawet, w jakiej monecie p. Alfred uiszczał się ze swojego długu. Mimo straty, trudno było nie śmiać się z tej awantury, i tak więc p. Alfred nie tylko śmiał się do rozpuku, ale owszem, z chęcią przyjął zaproszenie hr. Józia na koiacyjkę i rewanż.

Hr. Józio miał w mieście przyjaciela, który ani urodzeniem, ani fortuną, ani stanowiskiem, ale innemi nader cennymi przymiotami uniał sobie zaskarbić względy tak dystyngowanego kawalera. Zwał się Mizerka i był kancelistą, ale odznaczał się zamiłowaniem w sztuce dramatycznej i grał nieźle w bilar, a p. Mizerkowa łączyła z cnotą gościnności zaletę niepospolitych wdzięków kobiecych. Małżeństwo to było tak przykładnem, że jedna strona nie przeszkadzała drugiej oddawać się swoim gustom, hr. Józio zaś w takiej był przyjaźni z mężem i żoną, że bez ceremonji zaprosił całe towarzystwo na kolacyjkę do pp. Mizerków, która to kolacyjka, ma się rozumieć, miała być rodzajem pikniku. Jeden hrabia dostarczył ciepłych potraw, drugi zimnych, p. Pepi świec, deseru itp. a p. Alfred wina. Oprócz tego, hr. Józio zaopatrzył p. Mizerkę w fundusze, które mu były potrzebne, ażeby pomimo swojej szczupłej pensji, jako kancelista, mógł tego wieczora być w teatrze, zjeść po przedstawieniu ze znajomymi wieczerzę w traktyjarni i zagrać później kilkanaście partyjek „w kręgielki“. P. Mizerkowa podjęła się natomiast robienia honorów domu, i wywiązała się z tego zadania z niewymowną uprzejmością. Rozmowa z nią należała wprawdzie do rzeczy trudniejszych, zważywszy iż otrzymała była wychowanie nieco jednostronne i wskutek tego mniej była obznajmioną z przedmiotami służącami do jakiej takiej konwersacji, ale już sama obecność tak czarującej istoty zastąpić mogła towarzystwu najdowcipniejszą rozmowę, a potem, znalazło się przecież niejedno do mówienia. Udzielono sobie parę niewinnych ploteczek, krążących w mieście, rozważono wszechstronnie przymioty i wady artystek i artystów opery, i zdano sprawę z pozadomowego życia rozmaitych członków „towarzystwa“ w ścisłym znaczeniu. Opowiedziano, kto wyjechał z powodu długów, a kto z kim dał sobie rendez-vous u wód pod pozorem ratowania zdrowia, albo w Tatrach pod pozorem admiringowania cudów przyrody. Nawet polityka i kwestje społeczne stanęły na porządku wieczornym, pani Mizerkowa słyszała była bowiem od

pewnej znajomej, że mają być zaprowadzone rozwoły, i pytała z oburzeniem, czy to być może, ażeby ludzie rozłączali, co Bóg złączył? Słyszała także, że Luter opadł Ojca Św. w Rzymie i sam chce być Papieżem, i wiele innych rzeczy, między którymi ta jedna tylko była pocieszającą, iż odkryto nowy obraz cudowny, do którego pani Mizerkowa ślubowała odbyć pielgrzymkę, tylko że sama nie może puszczać się w drogę, a p. Mizerka nie może dostać urlopu. Wszyscy obecni ofiarowali się wyręczyć zacnego kancelistę i umożliwić swoją pomocą uskutecznienie pobożnego dzieła, do którego ks. Stodolski przy ostatniej spowiedzi szczególnie zachęcał p. Mizerkową. W ogóle, nie tak jak na wieczorku u p. Podwalskiej, na którym poznaliśmy p. Zameckiego, ale bez wszelkiej opozycji i dyskusji, załatwiono tutaj wszystkie kwestje, poruszające umysły, i wyczerpawszy je, rozłożono zielony stolik i rozpiecztowano karty.

— Cóż tam porabia twoja dawna miłość pani Zamecka? — odezwał się wśród tych przygotowań hr. Józio do p. Alfreda.

— Ha, cóż, pielęgnuje męża...

— A ty jej pomagasz, *mauvais sujet que vous êtes!*

— Cóż robić na wsi? — odparł pan Alfred, stawiając na stole wypróbną z szampana czarę i wyciągając się wygodnie w fotelu, z uśmiechem wyrażającym raczej znużenie, niż co innego.

— Ale, ale, wiesz ty, że Pepi odkrył tu w mieście młodą osobę, jak kropla wody do drugiej, tak podobną do pani Zameckiej. Tylko że ta już jest nieco *passée*, a tamta, świeża jak pączek, i jednym słowem śliczna. Onegdaj widzieliśmy ją obydwa, ja i księżę Hilary, w ogrodzie i staraliśmy się dowiedzieć gdzie mieszka, ale nie było sposobu.

— Radabym wiedzieć, co pana to interesuje? — odezwała się p. Mizerkowa z przekąsem.

— Mnie — nic, ale księciu podobala się djabelnie. Pepi musiał mu obiecać, że się dowie, gdzie się ukrywa ta nimfa.

— Wielkie rzeczy! — wtrąciła p. Mizerkowa. — Widziałam ją także, nic w niej nie ma osobliwego. Ubrana jak pokojówka...

Pani Mizerkowa, która nigdy nie wychodziła z domu, nie mając kilkanaście łokci aksamitu lub ciężkiego jedwabiu na sobie, była nader wymagająca pod względem toalety kobiecej. Była to jedna z niewielu wad tej nadobnej istoty.

— Bywają pokojówki wcale niczego, nadmienił sentencjonalnie hr. Kropiowski.

— O, wiem ja dobrze, — mówiła p. Mizerkowa, rozdrażniona bez widocznego powodu, — wiem ja dobrze, że niektórzy panowie mają takie *ordynarne* gusta! Fe, jakaś szwaczka! Bez wychowania, bez ekadu... bez hedu...

— Bez edukacji, — dopomógł hr. Józio. — Cóż, kiedy podobala się księciu, i Pepi dał słowo...

— Że zaproszę ją na wieczorek, *foi de polisson!* — zawołał Pepi w zapale. — Lecz nie tracmy czasu. Kto daje bank?

— Ja, — ozwał się hr. Józio, — a pani Matylda ponalewa nam z łaski swojej wina, i może później sechce przystawiać się do spółki z którym z panów.

Pierwszym szczęśliwym spółnikiem pani Matyldy był p. Alfred. Wygrywali oboje tak, że bank pękł w krótko. Z kolei, hr. Józio przysunął karty p. Zgorzelskiemu.

(C. d. n.)



# Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

## ROZDZIAŁ XIII.

(Ciąg dalszy).

*«Co Top ma na sobie. — Fabrykacja łuków i strzał. — Cegielnia. — Piec garncarski. — Różne naczynia kuchenne. — Pierwszy rosół i pierwsza sztuka mięsa. — Bylica. — Krzyż Południowy. — Ważna obserwacja astronomiczna.»*

— A zatem, móści Cyrus, od czegoż teraz zaczniemy? — zagadnął nazajutrz rano Pencroff inżyniera.

— Zaczniemy od początku — odparł Cyrus Smith.

I w samej rzeczy koloniści nasi zmuszeni byli zaczynać od samego „początku.“ Nie posiadali nawet narzędzi potrzebnych do wyrabiania niezbędnych narzędzi i nie znajdowali się nawet w tych warunkach, co przyroda, która „mając pod dostatkiem czasu, oszczędza przez to trudu.“ Brakło im czasu, gdyż potrzeby życia musieli zaspakajając niezwłocznie, a chociaż korzystając z doświadczenia drugich, nie potrzebowali niczego wynajdować na nowo, to jednak musieli wszystko wytwarzać na nowo. Żelazo i stal, znajdowały się jeszcze w rudzie, ich naczynia w pokładach glinianych, ich bielizna i suknie pod postacią włókienkowatych utworów roślinnych.

Trzeba tu jednak dodać, że osadnicy nasi byli „mężami“ w najpiękniejszym i najpotężniejszym tego słowa znaczeniu. Inżynier Smith nie mógł mieć do pomocy towarzyszy bardziej inteligentnych, większego poświęcenia i większej gorliwości, jakimi byli ci właśnie. On z nich każdego wybadał i poznał każdego przydatność.

Gedeon Spilett, dziennikarz niepospolitych zdolności, który uczył się wszystkiego, ażeby mógł mówić o wszystkim, miał w pełnej mierze głowę i ręką współdziałać przy kolonizacji wyspy. On nie cofnąłby się pewnie przed żadnym obowiązkiem. Jako zapalony myśliwy miał z zawodu poświęcić się teraz temu, czemu się dotąd li dla przyjemności oddawał.

Harbert, poczciwy, dzielny chłopak, posiadający dość obszerne wiadomości w zakresie nauk przyrodniczych, miał także przyczyniać się w znakomitej mierze do wspólnego dobra.

Nab był poświęceniem wcielonym. Zręczny, inteligentny, niezmordowany, silny, żelaznego zdrowia, rozumiał się nieco na kowalstwie i mógł z tego powodu osadzie ważne oddawać przysługi.

Co się zaś tyczy Pencroffa, ten był razem: marynarzem na wszystkich oceanach świata, cieślą w warsztatach systemu Brooklyn'a, pomocnikiem krawieckim na okrętach Stanów Zjednoczonych, ogrodnikiem i rolnikiem podczas urlopów itd. jako marynarz był do wszystkiego i umiał wszystko.

Trudnoby było zaiste dobrać pięciu ludzi bardziej gotowych do walki z losem i większą dających rękojmię, że wyjdą z niej zwycięzcy.

„Zaczniemy od początku“ powiedział Cyrus Smith. Otóż „początkiem“ tym, o którym mówił inżynier, miało być sporządzenie przyrządu służącego do przetwarzania substancji naturalnych. Wiemy, jak ważną rolę w tem przetwarzaniu odgrywa ciepło. Otóż paliwo, drzewo lub węgle mieli odrazu gotowe do użytku. Potrzebowali

więc tylko zbudować piec, ażeby takowe użytkować.

— Do czego ma służyć ten piec? zapytał Pencroff.

— Do ulepienia potrzebnych nam naczyń, odparł Cyrus Smith.

— A z czegoż wystawimy piec?

— Z cegiel.

— A cegły?

— Z gliny. Dalej w drogę, przyjaciele. Ażeby uniknąć niepotrzebnego transportu, rozbijemy nasz warsztat na miejscu produkcji. Nab przynosić nam będzie żywność, a do gotowania jej nie zabraknie nam ognia.

— Zapewne — odparł korespondent — lecz jeśli zabraknie żywności dla braku przyborów myśliwskich.

— Żebyśmy mieli choć jeden noż! — zawołał marynarz.

— I cóż wtedy? — zapytał Cyrus Smith.

— Co wtedy? Wtedy wystrugałbym czempredziej łuk i strzałę, i mielibyśmy łuk zwierzyn!

— Tak, tak, żeby jakiego noża, lub czegoś ostrego... rzekł inżynier sam do siebie.

W tej chwili wzrok jego padł na Topa, przechadzającego się po wybrzeżu.

Oko Cyrusa Smitha rozjaśniło się nagle.

— Sa-tu Top! — zawołał.

Pies przybiegł natychmiast na głos swojego pana. Ten wziął głowę jego w obie ręce, zdjął mu obrozę z karku, rozłamał ją na dwa kawałki i rzekł:

— Oto są dwa noże, Pencroff!

Dwa głośnie: „hurra!“ starczyły marynarzowi za odpowiedź. Obroza Topa zrobiona była z cienkiego kawałka hartowanej stali. Trzeba więc było tylko naprzód na grubszym kamieniu zaostriżyć go w szpic, a potem na delikatniejszym wyostrzyć klingę. Tego rodzaju żwirowatego kamienia było na wybrzeżu pod dostatkiem i w dwie godziny później warsztat osady składał się z dwóch ostrych kling, które łatwo było zaopatrzyć w mocne trzonki.

Pierwsze to narzędzie powitali z wielkim tryumfem. Był to nabytek w istocie nader cenny i ze wszech miar na czasie.

Ruszone w drogę. Zamiarem Cyrusa było powrócić do północnego brzegu jeziora, gdzie, jak zauważył dniem przedtem, była ziemia glinkowata, której próbkę posiadał przy sobie. Udali się więc wzdłuż brzegów „Dziękczynnej“, przeszli „Wielką Terasę“ i po pięciu milach drogi, przybyli do polanki położonej na dwieście kroków od jeziora Granta.

Po drodze spostrzegł Harbert drzewo, z którego gałęzi Indianie Południowej Ameryki sporządzają łuki. Był to „krejimba“ z rodzaju drzew palmowych, nie rodzących owoców jadalnych. Wycięli z niego gałęzie długie i proste, ogolocili takowe z liści i ostrugali je tak, że grubsze były w środku a cieńsze po obu końcach. Pozostawało tylko jeszcze wynaleźć jaką roślinę, któraby dała się użyć za cięciwę do łuku. Wynaleźli w istocie gatunek krzewu należącego do rodzaju ślazów, zwanego przez botaników „hibiscus heterophyllus.“ Krzew ten posiada pręciaki dość giętkie i mocne, któreby można porównać z ścięgnami u zwierząt. Tym sposobem sporządził Pencroff kilka łuków posiadających dość znaczną siłę rzutu. Brakowało jeszcze tylko strzał. Te łatwo dały się wystrugać z gałązek prostych, sztywnych i pozbawionych sęków, lecz

daleko trudniej było zaopatrzyć je w stosowne ostrze t. j. wynaleźć coś takiego, co by mogło zastąpić żelazo. Pencroff jednak powiedział sobie, że skoro on zrobił swoje, reszty dokona przypadek.

Osadnicy nasi przybyli na miejsce znajome już z dnia poprzedzającego. Grunt składał się z gliny używanej pospolicie na cegły i dachówki a zatem wielce przydatnej ich zamiarom. Robota sama nie przedstawiała najmniejszych trudności. Trzeba było tylko glinę wymieszać z piaskiem, poulepić z niej cegielki i wypalać takowe przy ogniu.

Zazwyczaj bywają cegielki robione w przeznaczonych do tego foremkach, inżynier jednak postanowił ograniczyć się na robocie ręcznej. Cały ten dzień i dzień następny upłynął na tej robocie. Gлина, zwilżona naprzód wodą, wymieszona potem nogami i rękami robotników, dzielona była następnie w kostki jednakiej wielkości. Jeden wyćwiczony robotnik jest w stanie, bez żadnego przyrządu, ulepić w ten sposób około dziesięć tysięcy cegiełek w dwunastu godzinach. Lecz nasi ceglarze z wyspy Lincoln'a nie zdołali w tych dwóch dniach ulepić więcej jak trzy tysiące sztuk. Poskładali te cegielki rzędami, jedną przy drugiej, aż się wysuszą zupełnie, poczem mieli je wypalać przy ogniu; nie prędzej jednak jak za trzy lub cztery dni.

Dnia 2. kwietnia przystąpił Cyrus do oznaczenia astronomicznego położenia wyspy.

Dniem przedtem zauważył dokładnie godzinę, w której słońce zapadało na widnokręgu, biorąc przytem w rachubę łamanie się światła. Tego dnia z rana zauważył również dokładnie godzinę, w której znów się pojawiło. Pomiędzy tym zachodem a wschodem słońca upłynęło było akuratnie dwanaście godzin i dwadzieścia cztery minut. A zatem w sześć godzin i minut dwanaście po wschodzie, powinno było tego dnia słońce przechodzić przez południe, a punkt nieba, w którymby się w tej chwili znajdowało, miał oznaczać północ\*).

O wyżwskazanej godzinie Cyrus oznaczył ten punkt za pomocą dwóch tyk skrzyżowanych, między które ujął słońce, i w ten sposób osiągnął stałą linię południkową, która miała mu służyć za podstawę do dalszych obliczeń.

Dwa dni, które poprzedzały palenie cegieł, obrócono na zaopatrzenie się w paliwo. Dokoła polany ścinałi gałęzie z drzew i zbierali suche, spadłe na ziemię. Robotę tę przeplatali polowaniem w okolicznych lasach, tem bardziej, że Pencroff posiadał już teraz kilka tuzinów strzał, zaopatrzonych ostremi końcami. Groty te zawdzięczali Topowi, który pewnego razu przyniósł ze sobą jeża morskiego. Jeż ten mniej był przydatnym na pieczone, lecz posiadał dla nich wartość nieocenioną z powodu kołców, któremi był cały najeżony. Kołce te przytwierdzone zostały mocno u końców strzał, kierunek zaś nadawano im za pomocą piór kakatoisów. Korespondent i Harbert wyćwiczili się w krótkim czasie na bardzo celnych łuczników. To też nie brakowało nigdy w „dymnikach“ zwierzyny, tak skrzydlatej jak i kudlatej: kabyjasów, gołębi, agutów, gluszców itp. Większą część tej zwierzyny upolowali w lesie położonym na lewym brzegu „Dziękczynnej“, który nazwali lasem jakamarowym, na pamiątkę

\* (W samej rzeczy w owej porze roku i w owej szerokości słońce wschodziło o godz. 5 m. 33 z rana, a zachodziło o godz. 6 m. 17 z wieczora.

(Przyp. autora.)



ptaka, za którym uganiał się Pencroff z Harbertem na pierwszej swej łowieckiej wyprawie.

Zwierzynę tę jedli póki była świeża, przechowywali tylko szynki z kabyjasa, uwędzone na wolnym ogniu z zielonego drzewa i przyprawione wonnemi ziołami. Strawa ta, jakkolwiek bardzo posilająca, była jednak zawsze tylko pieczonką i wędzonką, a osadnicy nasi tęsknili z całej duszy za słodką muzyką szumiącego garnka z rososem i sztuką mięsa. Lecz na to trzeba było czekać, aż garnki zostaną ulepione, a tem samem aż piec zostanie postawionym.

W tych wyprawach przedsięwziętych w bardzo ściśnionym tylko obrębie dokoła cegielni, napotykali nieraz myśliwi nasi świeże ślady wielkich zwierząt uzbrojonych w potężne pazury, których gatunku nie mogli rozpoznać. Cyrus Smith zalecał im więc jak największą ostrożność, las ten bowiem podług wszelkiego prawdopodobieństwa ukrywał niebezpieczne bestje.

Cyrus miał słuszość. W istocie pewnego dnia ujrzeni Gedeon Spilett i Harbert zwierzę bardzo podobne do jaguara. Zwierz ten jednak na szczęście zostawił ich w spokoju, w przeciwnym bowiem razie nie byłoby prawdopodobnie wyszli bez ciężkiego szwanku. Lecz za to poprzyślą Gedeon Spilett, że gdy będą mieli lepszą broń t. j. jedną przynajmniej taką strzelbę, jakiej domagał się Pencroff, wyda wojnę zaciętą wszystkim dzikim bestjom i oczyści z nich całą wyspę.

Przez tych kilka dni nie zajmowano się wcale wygodniejszym urządzeniem „dymników“, inżynier bowiem spodziewał się wynaleźć lub, gdyby trzeba było, zbudować stosowniejsze mieszkanie. Poprzestano więc tylko na tem, że wyścielono korytarze świeżą podściółką z mchu i suchych liści i na tem pierwotnem nieco posłaniu, zasypiali robotnicy nasi, zmordowani całodzienną pracą, twardo i smacznie.

Spisali także pokrótce pamiętnik dni spędzonych na wyspie Lincolna, od chwili gdy po raz pierwszy na niej wylądowali, i odtąd utrzymywali go regularnie. Dnia 5. kwietnia, była to środa, upłynęło było właśnie dwanaście dni, jak orkan wyrzucił naszych rozbitków na to wybrzeże.

Dnia 6. kwietnia inżynier i towarzysze jego od samego świtu zeszli się na polanie, gdzie się miało odbywać wypalanie cegieł. Operacja ta miała oczywiście dokonać się pod wolnem niebem, a nie w piecu, albo raczej cały ten stos cegieł miał tworzyć jeden olbrzymi piec, który miał się sam wypalić. Rozesłali po ziemi paliwo z faszyn ku temu sporządzonych i otoczyli takowe dokoła kilkoma rzędami wysuszonych cegieł, które utworzyły wielki sześcian, po którego kątach zostawili wolne otwory dla przeciągu. Robota ta trwała dzień cały i dopiero wieczorem podłożyli ogień pod faszyny.

Tej nocy żaden nie kładł się spać, wszyscy czuwali pilnie nad tem, ażeby ogień nie przygasł.

Operacja ta trwała czterdzieści ośm godzin i powiodła się wysmienicie. Poczem trzeba było zaczekać, aż się ta masa dymiąca nieco ochłodzi. Tymczasem zaś Nab i Pencroff pod przewodnictwem Cyrusa Smitha, znieśli na noszach ze splecionych gałęzi, kilka kup węglanu wapiennego, bardzo pospolitego kamienia, którego pod dostatkiem znaleźli na północnym brzegu jeziora. Kamienie te rozłożone pod wpływem ciepła, dały wapno niegaszone, bardzo gęste a tem samem pomnażające się przy gaszeniu, a do tego tak czyste, jak gdyby powstało przez zwapnienie

kredy lub marmuru. Wapno to zmieszane z piaskiem, który niedozwala wysychać masie, podczas gdy ta przechodzi w stan stały, dało wysmienity tynk.

Skutkiem tych rozmaitych przyrządzeń i preparatów posiadał inżynier d. 9. kwietnia do dyspozycji pewną ilość gotowego wapna i kilka tysięcy cegieł.

Nie tracąc więc chwili czasu, przystąpili natychmiast do stawiania pieca, mającego służyć do wypalania rozmaitych naczyń niezbędnych do domowego użytku. Przedsięwzięcie to powiodło się bez wielkich trudności. W pięć dni później napelnili piec węglem ziemnym, którego otwarte pokłady odkrył inżynier u ujścia Czerwonego Potoku — i z komina wysokiego na dwadzieścia stóp wzbił się po raz pierwszy dym. Polana zamieniła się w hutę a Pencroff był bliskim mniemania, że z tego pieca wyjdą wszystkie utwory nowożytnego przemysłu.

Na razie jednak ulepili osadnicy nasi tylko pewną ilość naczyń pospolitych ale bardzo przydatnych do gotowania jada. Pierwszym materiałem, którego do tego użyli, była glina ziemna, do której Cyrus Smith dodał nieco wapna i kwarcu. W rzeczywistości masa ta nie była niczem innem jak prawdziwą gliną używaną do fajek. Odlali z niej garnki i czary, do tych ostatnich użyli za wzór małych glazików odpowiedniego kształtu, dalej talerze, duże konwie i kadzie na wodę itp. Z kształtu naczyńia te były wprawdzie dość koszlawe, lecz wypalone w wysokiej temperaturze, zaopatrzyły kuchnię w „dymnikach“ pewną liczbę przyrządów i narzędzi równie cennych, jak gdyby do składu ich wchodził najpiękniejszy kaolin\*).

Trzeba dodać, że Pencroff, chcąc się przekonać, czy glina w ten sposób przyrządzona, usprawiedliwia swą nazwę „gliny używanej do fajek“, ulepił z niej sobie kilka fajek dość niewykuintnego kształtu. Wprawdzie zachwycał się niemi, lecz cóż, kiedy niestety brakowało do nich tytoniu! A brak ten dawał się srodze czuć marynarzowi.

— Lecz będzie i tytoń i wszystko! powtarzał w nieograniczonej swej ufności.

Roboty te trwały aż do 15. kwietnia i łatwo pojąć, że czas ten sumiennie został zużytkowany. Osadnicy nasi przemienieni w garncarzy byli z całej duszy garncarzami. Gdyby Cyrus Smith chciał był z nich porobić kowali, byłiby kowalami. Lecz nazajutrz przypadała niedziela i to niedziela wielkanocna, postanowili zatem jednogłośnie uświęcić dzień ten spoczynkiem. Amerykanie ci byli ludźmi religijnymi i skrupulatnymi przestrzegaczami przepisów Biblii, a położenie w jakim się znajdowali, bardziej jeszcze tylko rozwinęło w nich uczucie ufności ku Stwórcy wszech rzeczy.

Tego wieczora więc, dn. 15. kwietnia, wrócili do „dymników“. Zabrali ze sobą resztę naczyń a piec wygasł, oczekując nowego przeznaczenia. W powrocie tym zdarzył się pomyślny wypadek: inżynier odkrył pewną substancję, mogącą zastąpić czyr. Jest to, jak wiadomo, ciało gąbkowate i miękkie, grzyb należący do rodzaju polipów. Odpowiednio przyrządzony staje się bardzo zapalnym, zwłaszcza gdy się go poprzednio nasyci prochem armatnim lub wygotuje w roztworze saletrzanu lub chloranu potasu. Do-

tychczas jednak nie znaleźli takiego polipa ani nawet żadnego z tych grzybów, które go mogły zastąpić. Otóż tego dnia inżynier spostrzegł pewną roślinę z rodzaju bylicy, która między główne swe gatunki liczy piołun, cytronellę, traganek i t. d. Uszczknął z niej kilka pęków i wskazując je marynarzowi, rzekł:

— Patrzaj, Pencroff, to cię z pewnością ucieszy.

Pencroff przypatrzył się uważnie tej roślinie, porosłej miękkimi, długimi włosami, z liśćmi pokrytymi skędzierzonym puchem, i po chwili zapytał:

— Cóż to takiego, mości Cyrus? Na miłość Boga! Czy nie tytoń?...

— Nie, odparł Cyrus Smith, to artemizja, uczeni nazywają ją bylicą chińską, a dla nas zwykłych śmiertelników jest ona tem samem, co czyr.

I w samej rzeczy bylica ta, wysuszona jak się należy, dała substancję bardzo zapalną, zwłaszcza gdy ją później inżynier nasycił owym saletrzanem potasu, którego kilka pokładów było na wyspie, a który nie był niczem innem jak saletrą.

Tego wieczora osadnicy nasi zgromadzeni w środkowej komnacie „dymników“, spożyli przyzwoitą wieszczkę. Nab zgotował rosół z agutów, szynkę z kabyjasa, przyprawioną wonnemi ziołami, do której dodał kilka szczypt z wygotowanej trawiastej rośliny zwanej „caladium macrorrhizum“, która pod niebem południowem przybiera kształt krzewu. Rhizomy te miały smak wyborny, i były bardzo pożywne, miały zaś podobieństwo do przyprawy, znanej w Anglii pod nazwą „Portlandzkiego saga“ i mogły nawet do pewnego stopnia zastąpić chleb, którego brakowało jeszcze mieszkańcom wyspy Lincolna.

Po wieszczce, przed nocnym spoczynkiem, wyszedł Cyrus Smith z towarzyszami swoimi na brzeg morza odetchnąć świeżem powietrzem. Była wówczas godzina ósma z wieczora. Noc roztoczyła wszystkie swe czary. Przed pięciu dniami była pełnia, tego dnia księżyc jeszcze nie był zaszedł, lecz już widnokrąg cały osrebrzony był łagodną, bladą jasnością, którą nazywać by można świtaniem miesiąca. Na zenicie południowym jaśniały konstelacje podbiegunowe a z pomiędzy wszystkich najbardziej ów Krzyż Południowy, którzy inżynier kilka dni przedtem powitał był ze szczytu góry Franklina.

Cyrus Smith przypatrywał się czas jakiś tej promiennej konstellacji, która na wierzchołku i na podstawie posiada po dwie gwiazdy pierwszorzędnej wielkości, na prawym boku jedną drugorzędnej a zaś na lewym jedną gwiazdę trzeciorzędnej wielkości.

Poczem zamyśliwszy się chwilę, zapytał, zwracając się do Harberta:

— Słuchaj Harbercie, czy nie mamy dziś przypadkiem 15. kwietnia?

— Tak jest, panie Cyrus, odparł chłopak.

— Więc, jeśli się nie mylę, przypada jutro jeden z tych czterech dni w roku, w których czas istotny obrotu ziemi zbiega się z czasem średnim, to znaczy, moje dziecko, że jutro, po minąwszy kilka sekund różnicy, słońce właśnie w samo południe przejdzie przez południk. Jeśli więc będziemy mieli pogodę, to mam nadzieję obliczyć w przybliżeniu stopień długości geograficznej, w jakim się znajduje nasza wyspa.

— Jaktó, bez instrumentów, bez sekstanta? zapytał Gedeon Spilett.

\*) Gatunek glinki chińskiej wchodzącej do składu porcelany. (Przyp. tłum.)



— Tak jest odparł inżynier. A ponieważ noc taka pogodna, spróbuję więc jeszcze dziś w wieczór obliczyć, pod jakim stopniem szerokości położoną jest wyspa, a to: wymierzwszy wysokość w jakiej Krzyż Południowy a tem samem i biegun południowy znajduje się po nad widnokresem. Wszak pojmiecie to łatwo, przyjaciele moi, że aby na serjo rozgościć się tutaj, nie dość jest skonstatować, że ta ziemia jest wyspą, potrzeba jeszcze ile możności przeświadczyć się o tem, jak daleko odległą jest bądź od kontynentu amerykańskiego, bądź od australskiego, bądź też od głównych archipelagów Cichego Oceanu.

— W samej rzeczy, odezwał się korespondent, zamiast budować dom, może nam wypaźnie wybudować okręt, w razie jeśli tylko jakie kilkaset mil oddziela nas od lądów zamieszkałych przez ludzi.

— Dlatego właśnie, ciągnął dalej Cyrus, spróbuję dziś w wieczór wypośrodkować stopień szerokości, pod jakim znajduje się wyspa Lincolna, a jutro w południe spróbuję zdjąć jej stopień długości.

Gdyby inżynier posiadał był sekstant, przyrząd za pomocą którego da się z największą dokładnością obliczyć przez refleksję kątową odległość przedmiotów, wymiar ten nie ulegałby najmniejszej trudności. Obliczywszy tego wieczora wysokość bieguna a nazajutrz przejście słońca przez południk, otrzymałby obie „równorzędne“ wyspy. Lecz nie posiadając takiego przyrządu, trzeba go było czemś zastąpić.

Cyrus Smith powrócił więc do „dymników.“ Tam przy świetle ogniska wystrugał dwie jednakowe deszczulki i połączył je ze sobą za jeden koniec, tak, że tworzyły rodzaj kompasu, którego obie części można było dowolnie rozsuwać i przybliżać ku sobie. Spoił je zaś za pomocą twardego kolca akacji, wyjętej ze składu suchego drzewa.

Sporządziwszy ten instrument powrócił inżynier znów na wybrzeże. Ponieważ jednak potrzebował zdjąć wysokość bieguna ponad widnokresem jasno i wyraźnie zarysowanym, t. j. po nad widnokresem morza, a przyładek „Ostrego szponu“ zasłaniał mu widnokrąg od południa, musiał zatem poszukać innego odpowiedniejszego stanowiska. Najlepiej byłoby niezawodnie wybrzeże wystawione wprost na południe, lecz chcąc się do niego dostać, potrzeba było przejść na drugi bok „Dziękczynnej,“ która w ówczas była dość głęboką, a to było połączone z trudnościami.

Cyrus Smith postanowił więc przedsięwziąć swe obserwacje ze szczytu „Wielkiej Terasy,“ biorąc w rachubę jej wysokość po nad powierzchnią morza, którą miał nazajutrz obliczyć za pomocą prostego rachunku geometrycznego.

Osadnicy nasi przenieśli się więc na Terasę, lewym brzegiem Dziękczynnej, i zajęli stanowisko z kraju wystającego w kierunku północno-zachodnim i południowo-wschodnim, to jest przy owym rzędzie fantastycznych urwisk, ciągnącym się wzdłuż brzegów rzeki.

Ta część Terasy wznosiła się na jakie pięćdziesiąt stóp po nad wzgórze prawego brzegu rzeki, które podwójnym stokiem sięgały aż do ostatecznego końca przyładek „Ostrego Szponu“ i aż do południowego wybrzeża wyspy. Oko nie napotykało ztąd żadnej przeszkody i ogarniało całą jedną połowę widnokreśu, począwszy od wyż wspomnianego przyładek Jaszczurczego. Na po-

łudnie widnokrąg ostreimi rysował się linjami i był bardzo widocznym.

W tej chwili Krzyż Południowy przedstawiał się oku widza w przewrotnem położeniu, gwiazda *alfa* tworzyła jego podstawę zbliżoną bardziej do południowego bieguna.

Konstellacja ta nie leży tak blisko bieguna południowego, jak gwiazda polarna bieguna północnego. Gwiazda *alfa* odległą jest od niego blisko na dwadzieścia siedm stopni; Cyrus Smith wiedział o tem i postanowił tę odległość wziąć w rachubę. Zamierzał również obserwować ją w chwili, w której miała wchodzić w sam południk poniżej bieguna, co miało przyczynić się do uproszczenia jego obliczeń.

Cyrus Smith skierował więc jedno ramię swego drewnianego kompasu na widnokrąg morza, a drugie ramię na gwiazdę *alfa*, podobnie jak widelka repetytora, a odległość obu ramion dała mu przestrzeń kątową między gwiazdą *alfa* a widnokresem. Ażeby otrzymany tym sposobem kąt ustalić, przymocował za pomocą koców obie deszczulki przyrządu do trzeciej położonej poprzecznie, tak że kąt rozwarcia obu deszczulek nie mógł się schylić.

Poczem pozostawało już tylko obliczyć kąt otrzymany, przeniosłszy miejsce obserwacji napowrót na poziom morza, na to aby wziąć w rachubę stopień obniżenia widnokreśu, co oczywiście pociągało za sobą konieczność wymierzenia wysokości Terasy. Wielkość tego kąta równałaby się w takim razie oddaleniu gwiazdy *alfa* a tem samem także oddaleniu bieguna od widnokreśu t. j. stopniowi szerokości wyspy, gdyż stopień szerokości każdego punktu ziemi równa się oddaleniu bieguna od poziomu, na którym się punkt ten znajduje.

Obliczania te jednak odłożono do dnia następnego i o godzinie dziesiątej wszyscy pogrążeni byli w głębokim śnie.

(C. d. n.)

## POGADANKI.

### XXIII.

Pobyt znakomitej śpiewaczki, p. Czechowskiej, we Lwowie, nie tylko zachwycił miłośników muzyki i nie tylko stał się powodem ogromnego spustoszenia w ogrodach, które musiały dostarczać bukietów i wieńców, ale posłużył jeszcze także do wykrycia bezprawia, którego ofiarą niejedna przedtem artystka paść musiała. Istnieje tu niejaki p. Finkelstein, ten sam, jeżeli się nie myli, który już raz jako naczelnik natrętnej „klaki“ omal nie wszedł w kolizję z sądami. Pokazuje się, że jegomość ten urządził we Lwowie na wielką skalę „entreprise des succès dramatiques“ i próbuje terrorizować przybywających do naszego miasta artystów, ażeby mu się opłacili. I tak między innemi, zgłosił on się do męża pani Czechowskiej (śpiewaczka nasza występuje na scenie pod panińskim swoim nazwiskiem, ale jest zamężną Chyonaki) i zażądał 150 zlr. grożąc iż w przeciwnym razie, w kilku dzienniczkach fachowych w Wiedniu, Wroclawiu i Berlinie umieści korespondencję, której koncept załączył, i która przedstawiała miała w jak najgorszym świetle powodzenie tutejszych występów p. C. Za radą przyjaciół, p. Chyonaki udał się do władzy bezpieczeństwa i okazał jej list p. Finkelsteina wraz

z brulionem owej korespondencji. Spodziewać się należy, iż władza ta rozwinie całą swoją energję, ażeby tak zuchwałego napastnika zniewolić raz na zawsze do zaniechania rzemiosła, którego się chwycił. Nie każda śpiewaczka ma tak ustaloną sławę, jak p. Czechowska, i nie każda przyjmowana bywa z tak jednomyślnym zapalem, by nie potrzebowała obawiać się wyzyskiwaczy tego rodzaju — zresztą, przybywają do Lwowa cudzoziemcy, którzy mogą nie wiedzieć, że w Austrii istnieją ustawy, chroniące obywateli od rozboju. Wszak istnieje w kodeksie karnym paragraf 98my, który, mówiąc stylem urzędowym, „przewiduje czynności karygodne“ jakim oddaje się p. Finkelstein. Małożby tak bystrookie przewidywanie spełznąć na niczem? Miałaby kodeks a priori przewidzieć p. Finkelsteina, a p. Finkelstein nawet a posteriori nie dojrzeć kodeksu? Nie, świetna policjo, orędowniczką uciśnionych, ty nie dopuścisz do tego!

\* \* \*

Okrzyk „*Polizei! Polizei!*“ o którym mówią, że jest hasłem narodu „austriackiego“, znalazł wszelako odgłos nie tylko w sferach sztuki i jej miłośników, rozlega on się z większą nierównie siłą w łamach naszej prasy brukowej. Potrzeba bowiem wiedzieć, że Lwów posiada prasę brukową. Oprócz pewnej publikacji, która od czasu do czasu pojawia się z pod bruku (mniemam że każdy, co był w mieście, wie, co może być pod brukiem, oprócz rur gazowych) — oprócz tej niebezwonnej publikacji tedy, mamy niewinne zresztą piśmko, zwane „Kurjerem Lwowskim“. Używa ono powszechnej sympatji, jak słabowita dziecina, której wątle zdroweczko przypuszczać każe, że Bozia rychło zabierze ją pomiędzy swoje aniołki. Otóż ten maleńki kandydat na aniołka, przeczuwając snąc bliską swoją podróż do Nieba i pragnąc zaskarbić sobie dobre przyjęcie na łonie serafimów i cherubimów, zdobył się temi dniami na wrzask następującej treści:

„Chociaż Moskwa nie jest katolicką, przestrzega jednak, aby podczas procesji na Boże Ciało każdy zdjął kapelusz, i aby wszystkie okna w ulicy były pozamykane. Katolicka Austrija postępuje inaczej. Jej policja nie zdziera kapeluszy, co jest hańbą dla Austrii.“

Mój Aniołku, Austrija miała raz w Szwajcarii starostę, niejakiego Gesslera, który kazał „zdzierać“ ludziom kapelusze z głowy, i doznał w skutek tego znacznej „subjekcji“ ze strony niejakiego Wilhelma Tella. Chrystus był pokorniejszym od niego, nie nakazał bynajmniej zdejmowania kapelusza przed Swojem Ciałem, a nawet nakazać nie mógł, zważywszy, iż na Wschodzie, gdzie przebywał, okazuje się uszanowanie właśnie nakryciem głowy, a zdjęciem, obuwia. Jeżeli tedy droga dziecino, godnie uczcić pragniesz uroczystość Bożego Ciała, nie odsłaniaj lysej główki, połatyguj się mocniej i zdejm trzewiki, gdy idzie procesja. Co się zaś tyczy żołnierzy policyjnych, ci jak wszyscy żołnierze, gdy są w służbie, muszą mieć kask na głowie, a gdy nie są w służbie, odkrywają głowę przed procesją, jeżeli są katolickiego wyznania wiary, albo nie odkrywają jej, jeżeli są protestantami, bezwyznaniowcami lub żydami. Byłoby to hańbą dla państwa, gdyby zmuszano ludzi do objawiania uczuć religijnych, których nie podzielają, i Moskwa hańbi się tem, że przepisuje każdemu, jakiej ma być religji i jak to ma okazywać zewnątrz. Katolicy, protestanci i żydzi pod jej panowaniem, muszą bić pokłony



przed prawosławnymi oknami, muszą zamykać okna i sklepy. W Austrii, gdyby policjant zmuszał kogo do zdjęcia kapelusza, albo do zamknięcia sklepu, możnaby go skarżyć i byłby karany. Stosunki takie stanowią część tego, co dawniejsi Polacy nazywali „wolnością“. Słowo istnieje dotychczas, ale pojęcie zginęło. „Pofatyguj“ się mój aniołku, do słownika Lindego i przekonaj się, że tak jest w istocie. A kiedy cię Bozia zabierze do swojej chwały, gdzie zapewne także i promień mądrości wiecznej spadnie na twoją słabą główkę, nie żałuj i w niebie „fatygi“, mój ty słodki fatygancie ziemski, ale módl się za mną, ażebym się nie dostał z tej „hanby“ tutejszej pod „chlubne“ panowanie moskiewskie!

\* \* \*

Psychjatroowie, klasyfikując choroby umysłowe, jedną z nich nazwali „zadumą religijną“. Ofiarą tego nieszczęścia padają częściej kobiety, niż mężczyźni. Początkiem „zadumy“ bywa zwykle próżniactwo, i nie było podobno wypadku, ażeby człowiek zajęty pracą uległ temu obłędowi. Niedawno doniosły dzienniki, iż oddano do domu obłąkanych we Lwowie kobietę cierpiącą na „zadumę religijną“. Zakład ten zostaje pod kierownictwem znakomitych lekarzy, którzy osądzą niezawodnie najlepiej, czyli osoba, o którą chodzi, jest chorą, lub nie. To wszakże, co czytaliśmy w dziennikach, nie wystarcza na żaden sposób, ażeby kogo posądzić o obłąkanie. Według „Dziennika Polskiego“ mianowicie, pacjentka nie odszczególniła się w niczem więcej, jak tylko w tem, że utrzymywała: iż prawdziwa religja zawartą jest jedynie w księgach Pisma Świętego Nowego Zakonu, które każdy sam czytać i sam rozumieć powinien, jeżeli chce być zbawionym. Może w tem być herezja, ale obłąkania nie ma. Mam przed sobą Forstera „Życiorys Dickensa“, do którego dołączony jest testament tego wielkiego poety i myśliciela, i najlepszego z pewnością moralisty XIX wieku. Otóż Karol Dickens pisze w wyrazie ostatniej swej woli mniej więcej to samo, co według „Dz. Polskiego“ ma stanowić cechę obłąkania. Ażeby czytelnik mógł osądzić, czy to pisał człowiek o zdrowym umyśle, przytaczam ostatnie ustępy z jego testamentu. Rozporządziwszy majątkiem (wynoszącym 93.000 fnt. szt.) testator dodaje:

„Polecam, uroczyscie, ażeby mnie pochowano w sposób niekosztowny, bez żadnej wystawy jakiegokolwiek. Ażeby nie ogłaszano publicznie czasu i miejsca pogrzebu. Ażeby, co najwięcej, trzy tylko powozy szły za moją trumną, i ażeby nie było kap, czarnych bukietów, szarf krepowych na kapeluszach, ani żadnego innego oburzającego nonsensu tego rodzaju.“

„Polecam ażeby imię moje wypisano prostymi literami na moim grobie, bez dodatku: Master, albo Esquire. Zaklinam moich przyjaciół, ażeby pod żadnym warunkiem nie robili mnie przedmiotem pomnika, posągu, lub innej jakiej manifestacji publicznej. Prawa moje do pamięci mojego narodu opieram na moich książkach, a do pamięci moich przyjaciół na pożyciu mojem z nimi.“

„Polecam duszę moją Bogu przez Pana i Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, i upraszam moje dzieci, ażeby starały się „kierować w życiu naukami Nowego Zakonu według jego ducha, i ażeby nie dawały wiary niczyjemu ciasnemu pojmowaniu i tłumaczeniu jego liter.“

Powtarzam, że mogą to być słowa heretyka, ale heretyk ten podobno nie był obłąkanym. Woli jego ostatniej stało się zadość, pochowano go prawie w sekrecie, i na grobie położono prosty kamień z napisem „Karol Dickens“. Tylko kamień ten znajduje się w kościele Westminsterskim, na przeciw grobowców Chaucera i Szekspira obok pomników Pitta, Newtona, Miliona, Canninga, Nelsona, i wszystkich Wilhelmów, Edwardów, Henryków i Ryszardów angielskich. Już to jedno dowodzi po części, że można wierzyć tylko w „ducha“ Nowego Testamentu, a nie być policzonym między obłąkanych.

Jan Lam.

## Listy z Anglii.

IRLANDZKIE RUCHY.

Londyn w maju 1875 r.

Miedzy ojczyznami ludów Europy znaleźć można niejedną parę czasem nawet rodzonych sióstr skazanych przez historyczne losy na wieczne powaśnienie. Nieraz zdarzenia o tak głęboko skrytych przyczynach, że je mniej uważny pogląd aż przypadkowemi nazwać skłonny, wbijają w jeden lub między dwa spokrewnione narody klin, który je przez całe życie rozsadzać będzie i nigdy im się spoić nie da. Na jednym pniu i z jednych korzeni wyrosłe, rozdzierają się od pewnej chwili na różne, w przeciwne strony rozbiegające się konary. Często historia zaledwie wysledzić zdoła, a ileż razy nigdy dobrać się nie może, dla czego ten pień się rozdzielił, dla czego te konary odmiennie się rozwinęły, dla czego wtedy, gdy jeden z nich pokrył się pięknym obrostem, inny usechł lub pokarłał. Fakt podobny odnaleźć można — jak wspomniałem — w niejednym widoku życia ludów Europy, my przypatrzmy mu się w grupie plemion składających Anglję.

Jak w każdym 99 na 100 narodowych rozdziałów, tak i tu główną rozpychającą siłą była i jest różnica religii. Według wszelkiego prawdopodobieństwa z postępem ogólnej wiedzy, w miarę jak myśl powszechna zyskiwać będzie możność istnienia o własnej sile, tego rodzaju różnice coraz bardziej tracić będą wpływ na stosunki ludzkie. Tymczasem posiadają go one w olbrzymim stopniu a odniesione do przeszłości wykazują moc wszechwładną. Często tam, gdzie żadne zewnętrzne lub wewnętrzne wstrząśnienia nie zdołały rozłożyć jakiegoś narodu, rozbiła go jedna religijna kłótnia lub poprawka do wyznania wprowadzona. Spojrzmy na serbo-chrobatów. Z rdzenia jeden lud, który w pierwszych chwilach swego życia nie zdradza żadnych zarodków późniejszego rozdzielenia, jest dziś jakąś parą sjamskich braci — nierozdzielnie z sobą zrosłych, żywionych jednemi strumieniami myśli, uczuć i krwi a jednak wiecznie na siebie rozgniewanych. Mniej może jaskrawy ale tejże samej natury widok przedstawia Anglja i Irlandja.

Nie tylko plemienne pokrewieństwo, ale nadto dziesiątki wieków wspólnego życia i wszystkie potęgi tendencyjnego lub gwałtownego działania, wszystkie najmeńsze wysiłki starające się zapelnąć przepaść rozdziału, nie były w stanie dotąd ich połączyć, dla tego tylko, że pierwsza utrzymała się przy protestanckiem, druga przy katolickiem wyznaniu. Zdawało się nieraz, że już odrębność irlandzka niepowrotnie zniknęła

pod falami angielskiej cywilizacji lub podboju tymczasem pierwsza lepsza sposobność zdradziła głęboko tlejący i niewygasły żar niechęci, który się natychmiast przez zwołna wypaloną szczeliną silnym płomieniem wydobywał. Mimo spokojnej powierzchni życia Irlandji w jej wnętrzu gotowała się ciągle lawa wrących uczuć, które wprawdzie nie dały historii nigdy obrazu gwałtownych wybuchów, przypominały się jej wszakże co moment rzadko przerywaną polityczną exhalacją... Bo chociaż potok angielskich żywiołów zalał nieraz w ciągu wieków czysto irlandzkie pierwiastki, obfite ich iskry przechowywały się zawsze w tradycji religijnej, gdzie je łała przyjazny powiew w nowe żary rozdmuchiwał. Odrębna wiara była arką, w którą na każdy potop angielskich wpływów patryjotyzm irlandzki chronił nasiona uczuć narodowych, ażeby je potem gdy fale nieco opadną obficie rozmnożyć i wychować. Tym sposobem do dziś dnia dwa te pochodzeniem, przeszłością i obecnymi interesami złączone ludy przedstawiają w pewnym stopniu mechaniczną mieszaninę, która w publicznych i prywatnych sprawach pozwala łatwo rozeznąć dwa odmienne elementa i dwa ich kierunki. Jeśli zdarzyło wam się kiedykolwiek widzieć naszą Narew, która chociaż wpłynie do jednego łóżyska długo jeszcze potem odbija się jak czarna pręga od żółtawych wód Wisły, tem porównaniem możecie sobie usymbolizować dwa różne potoki i dwie barwy iro-angielskiego życia. Jego historia jest tkanką w której się nieprzerwanie przewijają dwa niezgodnych kolorów pasma. Żeby mały strumień Narwi mógł aż do ujścia oprzeć się potężnym nurtom Wisły jest rzeczą niemożliwą. Podobnie też wąta, bo i liczebnie słabsza i duchowo przez gorączkę religijną strawiona Irlandja nie ma siły oprzeć się sile swej stokroć mocniejszej siostry. Ale brak sił czynnych, zaczępnym doskonale wynagradza ona znacznym zasobem biernych, odpornych. Jak wszystkie polityczne zużle, z których fanatyzm żywotniejsze pierwiastki wytapia i niszczy, posiada ona tę duchową twardość, która najgwałtowniejsze uderzenia wytrzymuje. Tym politycznym hartem odbija wszelkie zamachy na jej narodowość wymierzone. W historycznym boju potraciła zwołna wszystkie oręża, któremi by ze swą krewniaczką walczyć mogła; dziś został jej tylko jedyny oszczep, którym się broni w każdym z nią starciu religja. Od meetingowych manifestacji do parlamentarnych potyczek, wszędzie irlandzcy zapalczywi występują w tej zbroi. I dla tego też prawie zawsze główną ich twierdzą — kościół, głównym wodzem — biskup. Każdy narodowy ucisk nie przez to tylko jest strasznym i zabójczym, że gnębi i niszczy, lecz przez to głównie, że usposabia do samobójstwa, że pośrednio psuje. Bo nie to zabija, co zwyciężony zwycięzcy oddać musi, ale najczęściej to, czego pierwszy się chwytą, ażeby nie uleść drugiemu. Gdy naród jakiś padnie, oplakiwać trzeba nie stratę jego instytucji i odrębności, bo tych zarodki przechowują się pod najsrozzem ciemnictwem, ale rozpaczliwe uniesienie, które go przybije do wspomnień przeszłości i naprzód postąpić mu nie da. Irlandczycy są ludem, któremu się już należy nagrobek, bo dogorywają w ostatnich drganiach konania. Jeżeli stanąwszy dziś nad ich śmiertelnem łóżem, spytamy historii dla czego umierają, to nam z pewnością odpowie: że mniej w ich śmierci zawinił ucisk, niż ich własny w tym ucisku upadek. Ten sam bolesny krzyk który wydarł się

W



z piersi hebrajskich proroków rozżalonych widokiem upadania się swych braci w babilońskiej niewoli, wybiega świadomie lub nieświadomie z duszy każdego niemal proroka każdego ujarzmionego ludu. Tak również skarżyłby się powinien i może się skarży niejeden irlandzki Jeremiasz. Bo jego naród jest jeszcze bardziej niešťczęśliwym przez swą obecną naturę niż przez swe zewnętrzne losy. Tem sobie zarazem tłómaczyć trzeba dwurudność naszych uczuć jakich doznajemy patrząc lub przysłuchując się manifestacjom irlandzkiego separatyzmu. O ile z jednej strony nie możemy nie sympatyzować z jego celem, o tyle z drugiej niemal zawsze trudno się pogodzić z jego środkami. Celem dlań jest narodowa niepodległość, środków dostarcza religijny zelotyzm i umysłowa ciemnota. (C. d. n.)

## Ze świata muzycznego.

Gdyby szanowna redakcja „Tygodnia“ zechciała bliżej przypatrzeć się stosunkom tutejszym, których wynikiem jest, że podobno trudno spodziewać się, aby u nas jakkolwiek instytucja prosperować mogła, to ze względu, że rozpisywanie się o takich rzeczach nie koniecznie należy do wielkich przyjemności, możeby nas uwolniła od zarzutu tak długiego milczenia.

Z dwóch instytucyj mających oddziaływać na obudzanie i szerzenie zamiłowania w muzyce, oraz wpływać u nas na rozwój sztuki, widzimy Towarzystwo Muzyczne, którego fundusze niewystarczają nawet na opłacenie lokalu i zaspokojenie najgwałtowniejszych potrzeb, a które swoje istnienie jeszcze zawdzięcza jedynie zabiegom dyrektora Mikulego — i operę, która pozbawiona umiejętnej dyirekcji chyli się do upadku.

Jakkolwiek finansowa pozycja jest główną podstawą bytu niemal wszystkiego na świecie, to przecież od umiejętnego kierownictwa wiele jeszcze zależy. Towarzystwo Muzyczne, nie będąc pod względem materialnym w zbyt świetnych warunkach, nie może przybrać na siebie ani charakteru ani doniosłości żadnego konserwatorium. W szczupłym więc zakresie, jaki mu do działania pozostaje i obok nieprzyjaznych okoliczności, które niestety dość często napotyka, aż nadto wywiązuje się ze swego zadania, jeżeli produkcjami swemi tak co do wyboru utworów jako też i sumiennego opracowania wystawianych dzieł, na wszelkie uznanie zasługuje. Jak jesteśmy przekonani, że Towarzystwo to nie upadnie, jak długo u steru jego będzie wyłącznie jeden i to fachowy kierownik, tak z drugiej strony zdaje nam się, że zbyt duża liczba razem rządzących dyrektorów zabiła tutejszą operę. Gdy przy zawiązaniu się spółki teatralnej, p. Dobrzański (ojciec) objął całą administrację a kierunek opery był powierzony p. Niedzielskiemu, cieszyliśmy się nadzieją pięknej przyszłości.

Artyści, widząc nad sobą jednego dyrektora, jego wyłącznie polecenia wykonywali i do niego zwracali się w każdej kwestji wymagającej jakiego bądź porozumienia się, gdyż tenże dyrektor reprezentował ich w komitecie spółki. Porządek ten, który niestety trwał bardzo krótko, był może najlepszą rękojmnią zgody i wspólnej pracy a ztąd i powodzenia.

Pierwsze nieporozumienia i zmiana w komitecie w skutek wystąpienia niektórych członków już niekorzystnie oddziaływały i odtąd datuje się początek wzajemnej nieufności artystów i dyirekcji oraz wrastające w publiczności coraz większe do teatru zniechęcenie.

Od tego to czasu bowiem, aż po dziś dzień uwagę ogółu zwracały na siebie nie tyle nowe opery i nowi artyści, ile gościnne występy nowych dyrektorów i amatorów ubiegających się o palmę pierwszeństwa w tem, kto z nich największe urządzi fiasco! Najsprawiedliwsze i najlepiej o tych rządach świadczące recenzje p. Dobrzański podobno dziś z rąk wierzycieli wykupuje, obejmując sam zarząd teatru. Tak jak przed trzema laty ostatnie reprezentacje niemieckiej opery zamknęła krótkim swym u nas po-

bytem p. Wanda Miller-Czechowska, tak i dziś może dla tego ją los do nas sprowadził, aby od położonego na kasie sekwestru nową i szczęśliwszą dla naszej opery otworzyć erę.

P. Miller-Czechowska, o którą się dziś słusznie pierwsze sceny Europy dobijają, jeżeli jest wszędzie miłym i pożądanym gościem, to jako rodaczka chlubę naszemu krajowi za granicą przynosząca, dla nas nim być nigdy nie przestanie. Od czasu, jakżeśmy ją tu słyszeli, sympatyczny jej głos o wiele zyskał na sile i pełności tonu a na rozwinięcie jego wpłynęły nie tylko praca ale i młody wiek artystki. Jeżeli *medium della voce* ma służyć za podstawę do poznawania rodzaju i charakteru głosów to siła średnich i pełność niskich tonów p. M-Cz. decydowałyby w niej głos mezo-sopranowy; jednakże p. Cz. dochodząc z łatwością wysokiego *Do* a nawet *Do diesis* nie tylko wytrzymuje *tessiturę* sopranową ale nawet nie czuje się w jej położeniu zmęczeniem żenowaną; dowodzi to nie tylko głębokiej znajomości studiów wokalnych ale i bogactwa głosu, którym śpiewaczka ta dysponuje. Najczystsza wymowa, wyrazistość deklamacji i umiejętność podanie tonu pozwalają jej podnosić wszystkie efekta każdej nawet najmniejszej frazy, z których też umiejętnie korzysta, a obok sympatycznej powierzchowności dobrem zrozumieniem rzeczy usprawiedliwiona jej dystygowana gra, daje nam w jej osobie na scenie artystkę dramatyczną w całym znaczeniu tego wyrazu.

Opery w których mieliśmy przyjemność aplaudować i podziwiać znakomity talent p. W. Miller-Czechowskiej były: „Żydówka“, „Hugenoci“, „Afrykanka“, „Cyrulik Sewilski“, „Borgia“, „Bal Maskowy“ i III akt „Fausta“. Nakoniec w niedzielę na poranku urządzonym na dochód bratniej pomocy Akademików, żegnaliśmy z żalem ulubioną artystkę po odśpiewanej przez nią arji „Ah Perfido“ Beethovena, na co też p. Cz. odpowiedziała pożegnalnym mazurkiem Chopina do którego Wacław Szymanowski umyślnie dla niej napisał słowa, a które na ogólne życzenie przytaczamy:

„Ze łzami w oczach i duszą stęsknioną  
Przychodzę żegnać bratnie wasze grono  
Lecz mojem sercem, mojami myślami  
Zostanę zawsze z wami!...  
A choć mi słońca świecić będą inne,  
Pamiętać będę te progi gościnne.

\* \* \*

Zdała od swoich, zdała od rodziny  
Pędzona losem w nieznane krainy,  
Wśród was na chwilę odżywiwszy duszę  
Znowu odjeżdżać muszę!  
Żegnam was, żegnam, bywajcie mi zdrowi!  
Niechaj Bóg szczęści naszemu krajowi.

Walery Wysocki.

## BIBLIOGRAFJA

### Niemiecka.

— „Der Frauenarzt“ Lehrbuch für das weibliche Geschlecht über dessen Gesundheits und Heilpflege. Von dr. Med. H. Klencke. Leipzig, Eduard Kummer.

Coraz częściej starają się lekarze zagraniczni popularyzować swoją wiedzę. Szersza publiczność zyskuje co chwila nowe podręczniki nauczające ją środków ratunku w chwilach nagłych i higienicznych przepisów dla podtrzymania zdrowia. Jednym z najzasłużeńszych pod tym względem ludzi w Niemczech, jest właśnie autor powyższego dzieła, Klencke, którego „Hauslexikon der Gesundheitslehre“ i „Weib als Gattin“ rozeszły się już niezmiernie i wiele pożytku przyniosły. Obecna praca jego „der Frauenarzt“ daje kobietom doskonałą sposobność pojęcia się co do rozmaitych przypadłości, którym ich organizm ulega i nauczania się środków tak ostrożności, jak i zaradczych. Rzecz to wyłożona popularnie a razem gruntownie i dla tego naszemu światu kobiecemu sumienie zaleci ją możemy.

### Francuska.

— „L'Arabe“ Poeme oriental. Oeuvres choisies de Jules Slowacki. Traduction française par Jules Mien. I Livraison. Cracovie. Imprimerie de W. Kornecki, 1875.

Pod tym tytułem pojawiła się mała książeczka, zawierająca w sobie „Araba“ Slowackiego, jako wstęp do wyboru poezji Juliusza w przekładzie francuskim. Tłumacz, p. Jules Mien, ofiarował tę pracę p. Władysławowi Markowskiemu „swojemu wychowawcowi i przyjacielowi“, którego zachęcie winien zapewne podjęcie tej pracy. Jakkolwiek wybór uczyniony na początek nie był zupełnie szczęśliwy, Arab bowiem stanowi jedną ze słabszych młodzieńczych kreacyj Juliusza, przesiąkniętych na wskroś demoniczną bajronicznością i uganiających się za modnym naówczas w literaturze naszej kolorytem orientalnem: w każdym razie jednak p. Jules Mien dowiódł w przekładzie swoim dokładnej znajomości naszego języka i głębokiego przejęcia się charakterem danego poematu. Na dowód tego, przytaczamy strofę początkową i końcową z tekstem obok, charakteryzujące wybornie dodatnie i ujemne strony przekładu.

„Kłęk mój wielbił jak Imam ubogi  
Co się w modlitwie obraca do wschodu,  
Jukami garby ładuje do drogi,  
Kilka daktyłów w zapasie od głodu;  
U boku szabla dobrze wyostrzona,  
W kołczanie śmierci ukryte nasiona.“

Pan Jules Mien oddaje to w ten sposób:

„L' Orient resplendit de clarté devant nous  
Et comme un iman pauvre, en ces lieux en prière  
Mon fidèle chameau flechit sur ses genoux  
Et s' incline devant sa naissante lumière.  
J'ai placé dans son bât de dattes et des fruits  
Tout est prêt et mon sabre à la lame affilée  
Est ceint à mon côté. La mort fille des nuits,  
Cache dans mon carquois sa face redoutée.“

A ustęp końcowy:

„Nie! nie chcę raju, lecz proszę proroka,  
Niech mojej duszy da stepy bez końca  
Dzikie i puste, bezbrzeżne dla oka,  
I wieczne wrące promieniami słońca.  
A gdy zapagnę, wśród dzikiego błonia  
Na me skinienie niech źródło wypływa;  
Niech mi tam prorok wróci mego konia,  
Który gdzieś w piaskach pustyni spoczywa.  
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia  
Step ten mych wrogów okryją mogiły;  
Niech mi się wróć znów młodości siły,  
Lecz nie wracają młodości cierpienia.  
O takim szczęściu serce moje marzy,  
Ach wtenczas będę spokojny! szczęśliwy!  
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy,  
Tej samotności przerwać się nie waży!“

Przekład tak brzmi:

„Non! point de paradis, mais que le grand Prophète,  
Accorde à ma pauvre âme une plaine sans fin,  
Une plaine sauvage, immense, bien déserte,  
Qu'embrasent les rayons de ce soleil d'airain.  
Et qu'a mon seul désir, dans ces arides plaines,  
Jaillissent sous mes yeux, de limpides fontaines.  
Que le Prophète aussi me rende mon cheval,  
Qui depuis si longtemps dort au steppe natal.  
Et que pour consoler mon âme désolée  
Des maux quelle a soufferts, cette plaine isolée,  
Au lieu des voluptés qu'offre son Paradis,  
Se couvre des tombeaux de tous mes ennemis!  
Qu'Allah me rende, alors, mon ardente jeunesse,  
Sans raviver ses maux ni sa trompeuse ivresse.  
Voilà le seul bonheur que j'envie à présent;  
— „Etre à jamais heureux... et sans inquiétude“  
— \*) Oh! qu'ador's aucun homme... aucun être vivant,  
Ne tente de troubler ma chère solitude!.....

Dwa przytoczone powyżej usteypy dają dostateczne wyobrażenie o wartości przekładu. Ujemną jego stronę, jak z nich widać, jest zastępowanie niekiedy dosadnych wyrażen naszego wieszcza szerokimi omówieniami i wstawianiem, w chwilach ambarasu technicznej formy, własnych małych dodatków — co jest zresztą rzeczą łatwą do pojęcia i pospolitą u tłumaczy poezji, poczynających. Pewni jesteśmy, że w następnych przekładach twórców naszego Juliusza, p. Mien, pozbędzie się tych drobnych usterek i tym sposobem, a nadto przy pomocy dobrego wyboru, da współziomkom swoim pełny obraz geniuszu i charakteru naszego wieszcza. W. O.

\*) Byćby powinno: *Mais seulement qu' alors aucun être vivant etc..* (Przyp. rec)



## Wiadomości z kraju i ze świata.

Sztuka, literatura i nauka.

— W teatrze lwowskim nowe zmiany. Mówią nam, że dotychczasowa dyrekcja, złożona z artystów, ustępuje czy nawet już ustąpiła, a jej miejsce zajmie p. Jan Dobrzański. Ponieważ, jak to czytelnicy nasi niejednokrotnie mogli się przekonać, szło nam zawsze o sztukę, nie zaś o osobistości, przeto i nadal na scenę naszą będziemy się zapatrywali tylko ze stanowiska sztuki, a każdy, kto ją szczerze będzie miał na uwadze, może również liczyć na szczerze nasze poparcie. Pragniemy tylko, aby stosunki w teatrze jak najprędzej się ustaliły, bo dotychczasowe eksperymenty fatalnie oddziaływały na rozwój tej instytucji.

— Stypendja artystyczne z funduszu państwowego na rok bieżący zostały właśnie ogłoszone. Ubiegać się mogą o nie artyści ze wszystkich królestw i krajów Przedlitawji, pracujący na polu poezji, muzyki, malarstwa i rzeźby. Podania na ręce właściwych władz krajowych winny być wniesione najpóźniej do dnia 31. lipca b. r. Mają one zawierać: 1) Wykazanie stopnia wykształcenia i stosunków osobistych ubiegającego się. 2) Wymienienie sposobu, w jaki ubiegający się artysta zamierza zużytkować stypendjum w celu dalszego wykształcenia, a 3) Próby prac artystycznych ubiegającego się artysty. Fundusz stypendjalny wynosi 10.000 złr., z których połowa przeznaczona na zapomogi dla zasłużonych artystów, a druga połowa na stypendja.

— W obecnej chwili przebywa w Rzymie całe kółko polskich malarzy. Aleksander Zieliński, najpoważniejszy z tego grona i Aleksander Stankiewicz od lat dwudziestu przemieszkują we Włoszech. Z artystycznej młodzi Gerymski, Kotarbiński, Kowalewski, Bolesław Łaszczyński, Henryk Siemiradzki i Kazimierz Szolc, dzielnie przedstawiają na obczyźnie siły naszego malarstwa w ogóle. Gerymski dobrze jest u nas znany, Kotarbiński, zajęty jest obecnie wykonaniem obrazu dla głośnego arcybiskupa Strossmeyer. Jest to płótno poważne, przedstawiające męczeństwo Świętego Kaliksta. Kowalewskiego konie tak cenione przez znawców, cieszą się ogromnem uznaniem. Kazimierz Szolc pejzażysta, z zamiłowaniem przenosi na płótno rokoszne krajobrazy, których otaczająca go przyroda tak wiele dostarcza. Siemiradzki pracuje obecnie nad płótnem olbrzymich, Kalbauchowskich rozmiarów. Uderza w niem nadewszystko olbrzymi kontrast największych ziemskich rokoszy z największą ziemską niedolą, życia w całej pełni przepychu i blasku, z powolną śmiercią męczeńską. Z lewej strony Neron ciągniony przez niewolników, otoczony dyszącym rozpusztą tłumem kobiet i dworaków, jedzie na złocistym wozie przez krążanki. Przepych całej tej dekoracji, rozłożonej na schodach i krążankach z lewej strony obrazu, nie do opisania. Błędne a mimo to srogie oko Nerona i oczy wielu z tej zgrai zwrócone w jedną stronę na scenę, która się odgrywa z prawej strony obrazu. Scena prosta i dość zwykła jak na owe czasy a dziś przejmująca żywą zgrozą nawet na obrazie; jest to szereg wysokich pali wbitych w ziemię, a u szczytu każdego pala oblany smołą chrześcijanin. Chrześcijanie ci będą spaleni wszyscy co do jednego a niektórzy już się palą. Właśnie zgraja słuzalców u dołu zajmuje się przygotowaniem tego oświetlenia. Obraz ten nosić ma nazwę: „Świeczniki Chrześcijaństwa.“

— 48e coroczne zebranie niemieckich przyrodników i doktorów odbędzie się tego roku we wrześniu w Gracu. Do wielu sekcji, z których towarzystwo to się składa, przybyła obecnie nowa dla antropologii i poszukiwań przedhistorycznych, która ma zamiar urządzić wystawę zabytków przedhistorycznych austriackich.

— Pomnik Savonarolli odsłonięty został dnia 23. z. m. podczas jubileuszu Ariosta w Ferrarze, w obecności królewicza Humberta, ministrów, senatorów, deputowanych i licznych znakomości włoskich. Posąg marmurowy reformatora i patryjoty włoskiego XV. stulecia, dłuta rzeźbiarza Galleti, ma być arcydziełem. Minister Finali w mowie swej podniósł, że Savonarolla był jednym z pierwszych Włochów, którzy bronili i krwią stwierdzili zasadę wolności i jedności Italji.

— Duplikaty w bibliotece uniwersytetu w Warszawie wynoszą około 50.000 tomów; aby zużytkować tak znaczną liczbę dzieł, napróżno dziś zawalających szafy, władza wyższa upoważniła zarząd biblioteki do zamiany duplikatów na inne potrzebne mu książki. Dla ułatwienia tej zamiany Zarząd uniwersytetu postanowił drukować zeszytami proste spisy dzieł na ten cel przeznaczonych. W tych dniach wyszedł pierwszy zeszyt z oddziału „Polonica“, zawiera on przeważnie dzieła z XVI i XVII wieku a w tej liczbie mieści się wiele cennych i ciekawych książek.

— W tych dniach w Paryżu odbyła się licytacja prywatnego zbioru autografów, między którymi znajdowała się dość znaczna liczba polskich, a między innemi następujące: List Stefana Batorego z r. 1575; list Jana Kazimierza z r. 1647 do kardynała de Bouillon; Katarzyny z Opalińskich, żony Stanisława Leszczyńskiego; Marji Leszczyńskiej, żony Ludwika XV; Marji Kazimiry, żony Jana III. datowany z Warszawy 27. sierpnia 1696 r.; Marji Ludwiki Gonzagi, z Warszawy, 30. grudnia 1645; list Tadeusza Kościuszki pisany po francusku, w Paryżu, 8. lutego XIV. r. rzeczpospolitej; list Mazepy, z podpisem. „Joan Mazepa, ataman, podpisał własnoju rąkoju.“ Wszystkie te autografy nabyła hrabina Małachowska. Z obcych, poszły tam na sprzedaż listy: La Fontaine'a, Fenelona, Marcina Lutra, Lukrecji Borgii do jej męża księcia Ferrary, wreszcie list św. Wincentego a Paulo.

— W Ferrarze, we Włoszech, przez cały tydzień obchodzono uroczystości czterechsetną rocznicę urodzin Ariosta. Na uroczystość tę przybył również królewicz Humbert, następca tronu włoskiego.

— Gustaw Doré zrobił układ z domem angielskim Pellen i Galpin, mocą którego podjął się ilustrowania dzieł Szekspira, za wynagrodzeniem w ilości 250.000 franków.

### Odkrycia.

— Bardzo interesujące odkrycia poczyniono niedawno w Zülpiach w okręgu Euskirchen. Po prawej stronie rzymskiego szlaku ciągnącego się od tego miejsca ku Kolonji, przy stawianiu pieca wykopano w głębokości 3 stóp pod ziemią pięknie wykonane popiersie Minerwy, oraz grot od kopji, czarę na oliwę z czarnej gliny, dwie amfory i łyżkę. Głębiej znaleziono kamienną trumnę, a w niej szkielet mężczyzny olbrzymiego wzrostu — a trochę dalej — drugi szkielet takiegoż samego rozmiaru. Następnie dobrano się jeszcze do wielu naczyń germańskich i podłóg mozaikowych. Wedle zdania badaczy na miejscu dzisiejszego rynku w Zülpiach znajdowało się niegdyś cmentarzysko germańskie z perjodu porzymskiego, a na gruncie ku południowi miasta znajdujące się szczątki wskazują, że istniało tam niegdyś rzymskie miasto.

### Gospodarstwo.

— Jako nowy fakt smutnych następstw wyniszczania lasów podajemy iż w towarzystwie jeograficznem wiedeńskim radzca Wex złożył wywód, z którego się pokazuje, że od 50 lat ubyło w znaczniejszych rzekach wiele wody i tak w Elbie 17, w Renie 24,8, w Odrze 11, w Wiśle 26, a w Dunaju 55 cali, a przyczyny tego szukać trzeba w rosnącym wycinaniu lasów, czego smutnem następstwem znowu, może być wkrótce odjęcie rzekom wielkim użyteczności komunikacyjnej, przemysłowej i handlowej.

— Wedle najnowszej poczty islandzkiej wybuchy wulkaniczne, o których niedawno tutaj donosiliśmy, trwają nieprzerwanie i wzmogły się szczególnie przy końcu marca. Wielką część wyspy na 2 do 3 cali pokryły popioły. Obliczają, że 2000 osad chłopskich dotychczas poniosło ogromne szkody z tego powodu w bydle i budynkach.

### Wynalazki i komunikacje.

— W broszurze dr. Edwarda Sawickiego, o której wspomnieliśmy zeszłego tygodnia w części bibliograficznej, znaleźliśmy wiadomość o bardzo ciekawym wynalazku, nazywającym się „Radiometer.“ Oto co o nim pisze dr. Sawicki: „Radiometer“ wynalazł go Williams Crookes. Jest to przyrząd, który przedstawia zjawiska odbijania pod wpływem promienienia światła. Pod szklanym dzwonem stoi rodzaj szklanego kieliszka, w którym tkwi banieczka szklana w postaci pęcherza rybiego. Na jej szczycie osadzone

poziomo koło sprychowe średnicy najwięcej 3 cmtry. Na obwodowym końcu każdej sprychy koła jest krążek średnicy 1 cmtry, odchylony od poziomu pod pewnym kątem. Powierzchnia krążków pociągnięta jedną z barw tęczy. Takich przyrządów wystawił p. Crookes kilka. W chwili gdy na nie pierwszy raz spojrzalem, wydawały mi się młynkami, bo wszystkie koła były w ruchu o różnej chyżości. Źródłem siły, która puszcza w ruch koła tych młynków, jest: promień światła! Z doświadczeń W. Crookesa wynika, że promienie światła są w stanie popchnąć ciała masowe w ruch. Jest to rzeczą fizyków — umiejętnie wyzyskanie tego zjawiska. Dla fizjologii odżywiania, a tem bardziej dla fizjologii mózgu, doświadczenie to jest bardzo ważne.

— Według „Nowosti“ dwóch znanych polskich przemysłowców, zakłada nowe akcyjne towarzystwo (kapitał zakładowy ma wynosić rs. 500.000, akcyj 1000) dla prowadzenia handlu produktami Królestwa Polskiego, tak w kraju jak i za granicą. Oprócz prowadzeniu handlu, spółka ta ma zakładać fabryki wyrobów zmiankowanych produktów i wydawać pismo p. t. „Przemysłowiec“.

— „Kurjer codzienny“ donosi, że koleje konne mają być nareszcie urządzone na głównych liniach komunikacyjnych w Warszawie, z odnogami na Pragę do rogatki Powązkowskich, Wolskich i Petersburskich. Projekt opracowywa się już w biurach właściwej władzy, po zatwierdzeniu zaś, ma być ogłoszona publiczna na to przedsiębiorstwo licytacja.

### Wojskowość.

— Flota wojenna niemiecka mieści w sobie: 8 fregat pancernych z 91 działami, 1 korwetę pancerną o 8 działach, 2 pancerniki zwyczajne z 6 armatami, 5 pokrytych korwet o 138 działach, 9 korwet z otwartym pokładem o 103 armatach 1 okręt linjowy (koszarowy) 5 Awizów z 6 armatami, 1 fregatę żaglową z 26 armatami, 3 brygi żaglowe o 40 armatach, 9 wielkich szalup śrubowych I klasy z 29 działami, 92 kl. z 18 dział III. — wreszcie 7 transportowych, polujących itd. parowców; razem tedy 60 gotowych do wyprawy okrętów a na nich 465 armat.

### Statystyka.

— Handel 11 głównych państw handlowych na ziemi: Anglii, Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Francji, Belgji, Austrii, Rosji, Włoch, Hiszpanji, Holandji i Szwajcarii w 20 latach ostatnich podwoił się, w r. 1855 wynosił 1.413.900.000 tal. a wzrósł do 1872 do sumy 3.092.000.000, co wykazuje przyrost 1.678.100.000 tal. Ogół zaludnienia powyższych państw wynosił w r. 1855—271.443.000 dusz, a od 18 lat powiększył się o 40.177.000 dusz.

— Podług najnowszych obliczeń statystycznych zajmuje Londyn obszar 700 angielskich mil kwadratowych, na których mieszkają 4 miliony ludzi. W tej liczbie znajduje się więcej katolików niż w Rzymie, więcej Szkotów niż w Edynburgu, więcej Irlandczyków niż w Dublinie i więcej żydów niż w Palestynie. W przystani londyńskiej codziennie rzuca kotwice 100 okrętów z 9 tysiącami majtków. W mieście co pięć minut w przecięciu rodzi się człowiek a co ośm minut umiera. Corocznie budują w niem 28 mil angielskich nowych dróg i około 9000 nowych domów. Urząd pocztowy rozsyła po mieście rocznie 238 milionów listów. W księgach policyjnych zapisane są nazwiska 120.000 znanych zbrodniarzy, a liczba ta z każdym rokiem się powiększa. Ze zbrodni popełnionych w całej Anglii więcej niż trzecia część przypada na Londyn. Piwiarnie i wyszynki londyńskie, obok siebie ustawione, zajęłyby przestrzeń 73 mil angielskich.

### Nekrologja.

— Dr. Józef Kremer, znany estetyk i filozof, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Akademji Umiejętności, umarł w Krakowie dnia 2. bm.

— Dr. Henryk Ewald, znakomity orientalista, umarł 5. z. m. w Berlinie. Urodzony w r. 1803, był profesorem języków wschodnich w Getyndze, a następnie teologii w Tübingen.



## ROZMAITOŚCI.

— Do plag krain tropikowych należą nie tylko tak często wspominane przez podróżników muskity, jadłowite muchy, olbrzymie mrówki itd., ale także pszczoły i osy. Że te ostatnie mogą nawet wzbronąć przejścia przez rzeki, dowiedzieliśmy się dopiero obecnie od najnowszych podróżników po Afryce. I tak du Chaillu w drodze swojej do Owandy, w okręgu Bakalai, poznał gatunek małych os, *cloway* nazwanych, które umieszczają gniazda swoje z gliny ulepione na gałęziach drzew stojących nad brzegami rzek wielkich. Murzyni boją się tych owadów bardziej aniżeli dzikich bestyi leśnych i prawie ich namiętnie niepodobna do przejścia rzek w miejscach obsadzonych przez te osy. Jak tylko bowiem ten rój maleńkich rozbójników zaniepokojonym zostanie widokiem zbliżającej się do gniazd jego łodzi, natychmiast wypada w wielkich massach i z niesłychaną wściekłością na burzyciela swojej spokojności uderza. Murzynom, nam, nie pozostaje nic w takim razie, tylko natychmiastowym skokiem w wodę się ratować. Du Chaillu, który nieraz bywał ofiarą podobnej napaści, zwykł był okrywać się koldrami z głową, i tak doczekał się oddalenia małych wrogów. Na szczęście atak ich trwa nie zbyt długo, jak tylko bowiem nieprzyjaciela swego na znaczniejszą przestrzeń odpędzą, wracają do gniazd. Uklucie ich zadaje nadzwyczaj bolesną ranę, jad bowiem, jaki pozostawiają w ciele dręczy nieraz przez trzy i cztery dni, nie dając ani chwili spokoju.

— Podróżnik Dumont d'Urville, który szczególnie nowo-zelandzkie obyczaje dokładnie poznał, opowiada w następujący sposób o operacji „tatuowania“, czyli ozdabiania ciała w rysunki i barwy rozmaite, której każdy dziki tamtoziemiec zwykł się poddawać. „Pewnego poranku, na przechadzce, trafiłem na sztukmistrza w tym zawodzie, niejakiego Tawi, który tatuował jednego z naczelników i w tej chwili właśnie obrabiał mu łopatkę. Narzędziem, którym się przy tej mozolnej czynności posługiwał, była kość skrzydłowa gołębia, czy też dzikiej kury, mająca około 1 centymetra grubości i w ten sposób przytwierdzona do rękocyści, długiej na 10 centymetrów, że z nią kąt ostry tworzyła. Tym narzędziem dłuta wycinał artysta na łopatkę nieruchomie leżącego pacjenta rozliczne proste i łamane linje, uderzając, za każdym poruszeniem w dół, z wierzchu, kawałkiem drzewa, długim mniej więcej na 20 centymetrów. Jeden koniec tego kawałka drzewa był wyrobiony naksztalt łyżki, i służył przy każdym uderzeniu i nacięciu do zbierania obficie wytryskującej krwi. Oprócz tego operator maczał co chwila dłuto w naczyniu napełnionem wodą zmieszaną z sokiem jakiegoś drzewa i tym sposobem nakreślonym przez siebie linjom na ciele pacjenta niezatartą czarną barwę nadawał. Operacja ta jest tak bolesna, że żadną miarą na raz na całym ciele dokonana być nie może i często całe lata przechodzą, zanim nowo zelandzki młodzian takiej ozdoby w pełni się doczeka. Nazywa się ona Moki. Na Tahiti zaś, gdzie również zwyczaj ten panuje, operacja powyższa nosi nazwę Titi i odbywa się na cześć bóstwa tegoż samego nazwiska a należy do przepisów dobrego tonu u tych dzikusów. Wszystko to wywoła niezawodnie litosny uśmiech na nasze europejskie usta — a jednak Bogiem a prawdą, nie mamy się z czego śmiać, i my bowiem hołdujemy bożyszczy, na którego niedorzeczny i śmieszny ołtarz składamy nieraz życie i zdrowie w ofierze, i które stokroć bardziej jest wymagającym i despotycznym, aniżeli owo wyspiarskie — a nazywa się — Moda!

— Cesarz austriacki w czasie podróży swojej po Dalmacji, po wyjeździe z Raguzy, płynąc kanałem della Giupana zatrzymać się kazał yachtsowi swemu „Miramaro“ przy Canosie i wysiadł tamże na ląd dla obejrzenia słynnych platanów znajdujących się w tem miejscu. Z Raguzy na parowcu Lloyd'a przybyło mnóstwo ciekawych a i ludność okoliczna w swoich malowniczych strojach narodowych zebrała się, na wszystkich drogach dla widzenia Cesarza i przyjęcia go burzliwemi okrzykami. Podesta na czele władz municypalnych przeprowadził

dostojnego gościa przez czarownie piękny ogród hrabiego Gozze do sławnych platanów. Klomby i kwiaty tego pysznego, w terasach wznoszącego się ogrodu, należą do roślinności tropikowej, tak że przy wejściu, jakoby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jest się pod równik przeniesionym. Przy końcu ogrodu wznoszą się owe olbrzymie platan, przed trzema wiekami przeszczepione tutaj z Konstantynopola. Wielkość ich istotnie jest bajeczną, szczególnie dwóch, pod których cieniem regiment piechoty mógłby wygodnie obozować. Pnie tych drzew mają 30 stóp objętości, sześciu tegich ludzi z wyciągniętymi ramionami ledwo drzewo to opasać byli w stanie.

— Ferdynand Korteż, po odkryciu Meksyku, przechodząc w drodze do Honduras, przez Jukatan, zatrzymał się przy jeziorze Itza, na którego wybrzeżach zamieszkiwało pokolenie indyjskie tegoż samego nazwiska. Dzielnym żołnierzem ale i nie mniej dobrym dyplomata, zawiązał Korteż ze zwyczajną sobie zręcznością i przebiegłością przyjazne stosunki z tuziemcami i zawarł z ich kacykami zaczepno-odporny sojusz. Gdy zaś po jakimś czasie musiał się udać w dalszą drogę ze swoją awanturczą gromadką żołnierzy, a zdarzyło się, iż miał ranne konie, zostawił go pod opieką mieszkańców Itzy, i polecił im, aby go otoczyli jak najtroskliwszem staraniem i bacznością. Itzasy wtedy po raz pierwszy ujrzeli Europejczyków i ich konie, i w prostocie serca swego uważali jednych i drugie za istoty nadprzyrodzone. To też Kacyk przyrzekł uroczyscie hiszpańskiemu dowódcy, że cudownemu stworzeniu, które mu powierzył, nie zabraknie na niczem; — na nieszczęście jednak zapomniawszy się spytać szczegółowo o sposób obchodzenia się i żywienia tej osobliwszej istoty. Gdy więc Hiszpanie oddalili się, Indianie nie wiedząc co czynić, zebrali się na wielką, uroczystą radę nad tą ważną kwestją i po długich rozprawach zgodzili się wreszcie, że pospolita trawa, siano i zboże indyjskie byłyby nadzbyt grubą i pospolitą strawą dla chorego czworonożnego gościa. Poczuli go tedy karmić mile pachnącemi kwiaty i pieczonemi kurami, — z kąd wynikło, że w krótkim czasie biedny koń zdechł z głodu. Zdarzenie to przeraziło wielce całe pokolenie Indian i wzbudziło w nich przekonanie, że straszna plaga jakaś za to spaść na nich musi. Dla zażegnania tedy, o ile możliwości, gniewu nieznanego demonów, postanowili na nowej radzie zdechłemu koniowi boską cześć oddawać. Wkrótce najbieglejsi ich sztukmistrzowie wykuli kamienną podobiznę cudownego zwierzęcia, którą następnie ustawiono w osobnej świątyni, na wyspie. Nowemu bóstwu nadano nazwisko „Tziminchak“ co tyle znaczy ile „Bóg ognia i piorunów“. Przyczyną nadania tego charakteru nowemu bóstwu był podziw, jaki w Indianach wzbudził widok broni palnej, której moc i skutki czarodziejskiej władzy hiszpanów i ich koni przypisywali. Długie, długie lata potem jeszcze, nim wreszcie hiszpańscy misjonarze nawrócili tuziemców do chrystyanizmu, uwielbiali oni pomiędzy innemi bogami, także i kamiennego Korteżowego konia.

— Znaną już jest czytelnikom naszym z krótkich wzmianek dziennikarskich straszliwa katastrofa, której uległ 7. maja r. b. przy wyspach Scilly przepyszny hamburski parowiec „Schiller“. Obecnie przynoszą dzienniki niemieckie szczegółowy opis okolicy morskiej, która była sceną tego przerażającego epizodu i całego przebiegu rzezy. Za jednym z nich opis ten powtarzamy. Grupa wysp Scilly, nie jednemu już okrętowi, wpływającemu z oceanu na kanał zgubę przyniosła. O 20 mil morskich od południowo zachodniego wybrzeża grupy wysp brytańskich, leżą wyspy Scilly, w ilości 140. Z oddali mają one pozór nawpół zatopionego, rozerwanego przez fale ładu; potężne masy skaliste sterczą w dzikim majestacie z morza, które ryczy i rozbija się o ich brzegi, i o otaczające je rafy. Sześć tylko z tych wysepek jest zaludnionych: St. Mary, St. Agnes, St. Martin, Tresco, Bryer i Sampson. Stosownie do położenia wysp Scilly większa część ich ludności zajmuje się żegluga i rybołówstwem. Z północy, południa i wschodu przystęp do tych wysp jest o wiele mniej niebezpieczny, aniżeli z zachodu kędy znajduje się mnóstwo raf i skał, po większej części

tylko przy bardzo niskim stanie wody widzialnych a zwyczajnie pokrytych wodą i zdradzających się jedynie wirami, który gotuje się nad niemi. Niegdyś na wyspie St. Agnes znajdowało się ognisko sygnałowe, teraz zaś na Bishop Rock, punkcie najbardziej wysuniętym na zachód wznosi się latarnia morska, należąca do najzuchwalniejszych budowli w tym rodzaju. Płomień lśniący z tego budynku, wysokiego na 45 metrów, widzieć można we wszystkich kierunkach, z odległości 16 mil morskich; przy mgłę wielkiej biją tam nieustannie w dzwony. To przyczyniło się wprawdzie do zmniejszenia nieszczęść, które się w tych okolicach często zdarzały; że jednak niezapobiegło im w zupełności, dowodzi najlepiej katastrofa „Schillera“. Parowiec ten, w r. 1873 na zamówienie hamburskiego transatlantyckiego stowarzyszenia żeglugi parowej, zbudowany w Glasgowie, opatrzone był maszyną o sile 60 koni, miał kocioł objętości 3421 ton; długości miał 380 stóp, szerokości 40 a głębokości 32 stóp. 27 kwietnia opuścił „Schiller“ Nowy York z 254 pasażerami i załogą 101 ludzi. W pierwszych dniach podróży miał do walczenia z burzami, potem zaskoczyły go mgły, uniemożliwiające wszelką obserwację, tak że kapitan tylko za pomocą ołowianki się orjentował. 7 maja, około 7. wieczorem, wicher uspokoił się nieco, ale mgła za to zgęstniała do tego stopnia, iż o stópę po za okrętem nie dojrzeć nie można było. Nie zaniedbano jednakże najmniejszej ostrożności: zwinięto żagle, maszyny pracowały tylko połową siły a warty znacznie powiększono. Około w pół do 10. kapitan stał na pokładzie i znaczna część pasażerów obok niego. Nagle okręt drgnął i zatrząsł się. Wszystkie jego części zdały się rozpadać. Wówczas nastąpiły owe sceny nieopisanego zamieszania, nieodłączne od podobnych katastrof. Kapitan parowca, Thomas, jeden tylko w pośród tego całego popłochu i zgrozy zachował aż do chwili śmierci swojej krew zimną i nie zaniedbał niczego dla uspokojenia obłąkanych trwogą podróżnych i przywrócenia porządku. Ale w podobnych razach prawie zawsze zadanie takie staje się niemożliwym. Kapitan Thomas rozkazuje szalupy spuszczać na morze. Jedną z nich wyraca się odrazu, z drugim sternikiem; na drugiej, ledwo dorwawszy się do niej, odpływa sternik pierwszy bez względu na okrzyki i wołania kapitana i jęki tonących podróżnych i marynarzy. Spuszczona następnie łódź ratunkowa z powodu przepełnienia, tonie z 30 ludźmi. Dwie boczne szalupy rozbił tylny komin okrętu, upadając. Do kilku innych łodzi, tłoczą się wszyscy w dzikim popłochu, bez rozwagi na co się narażają przeciążając je; bez względu nawet na strzały z rewolweru kapitana, któremi chce ich powstrzymać. Strzały armatnie wołające o pomoc i sygnały rakiety nie sprowadzają żadnego ratunku. Usłyszano je i zauważono na St. Agnes, ale w taką ciemność i na wzburzone morze nikt się rzucić nie ważył. Tymczasem przelewać się zaczęły fale przez pokład okrętu a za każdym swoim uderzeniem zabierały mnóstwo ofiar. Wkrótce i z pomostu zmyły wielu ludzi, a pomiędzy nimi o 3. godzinie kapitana, pierwszego inżyniera i doktora okrętowego. Pozostali szukali ratunku na masztach. Obadwa maszty stały jeszcze przed świtem, pokryte ludźmi. Około 7. upadł jeden z nich i zrzucił wszystkich, co go się trzymali, w morze; wkrótce załamał się i drugi. Kilka zbliżających się na ratunek łodzi nie zdążyło już na czas. Ostatnie tylko okrzyki ginących przywitały zbawców. Kilka zaledwie ofiar zdołano uratować. Parowiec z łodzią ratunkową z St. Mary przybył niestety za późno, trochę tylko ładunku i szczupłą garstkę ludzi ocalił. 312 ludzi znalazło zgon w morzu, 43 tylko a w tej liczbie 15 podróżnych ocalało. Pewną ilość zwłok pogrzebano na wyspie St. Mary.

### Odpowiedzi Redakcji.

**Pani S. R. w Stanislawowie:** „Wyspy Tajemniczej“ wyszedł właśnie tom drugi a w krótko ma się pojawić trzeci i ostatni. Całe to dzieło zamieścimy w przekładzie w „Tygodniku“ Za słowa uznania dziękujemy w imieniu tłumacza.

### Tr e ś ć Nr. 23.

*Ratujmy sztukę polską!* I; *Byłe wyżej*, powieść Michała Bałuckiego (c. d.); *Studia o sztuce w Polsce*: Jan Matejko, przez Józefa Rogosza; *Kobiety w Algierze* przez Dr. Jana Sawickiego (c. d.); *Starożytność kuli ziemskiej*, przez dr. F. H. Kleina; *Ismailia*, podróż S. W. Bakera w głąb Afryki; (c. d.) *Wiosna*, poezja Marji B.; *Idealiści* powieść Jana Lama; (c. d.) *Tajemnicza wyspa*, przez Juliusza Verne; (c. d.); *Pogadanka* Jana Lama; *Listy z Anglii*; — *Ze świata muzycznego*; — *Bibliografia*. — *Wiadomości ze świata*. *Rozmaitości*. — *Od Redakcji*.